Nr. 37. Warszawa, dnia 15 (3) Września 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

STOSUNKI WE FRANCYI.

Olbrzymią księgę ogłosił świeżo drukiem rząd francuski, zawierającą około ośmiuset stronic a poświęconą sprawie ruchu ludności w tym kraju z okresu 1886—1891. Wydawnictwo to w najbardziej zasadniczej sprawie nie przyniosło nic nowego, zawarło bowiem materyał oddawna już znany i wielokrotnie roztrząsany nie tylko przez prasę francuską, ale wogóle przez publicystów zagranicznych. Przewyborna to próbka pośpiechu urzędowego! Władze, spętane formulizmem biurokratycznym, dopiero teraz, po paru latach, zdobyły się na wydrukowanie materyału, który wywołał tak smutne utyskiwanie ekonomistów francuskich. Statystyka owa, tak długo pozostawiona bez światła dziennego w retorcie oficyalnej, po raz pierwszy zrodziła ów krzyk rozpaczy, który wstrząsnął całym krajem i streścił się w haśle: „Nie chcemy mieć dzieci!“ Okazało się, że przyrost ludności w ciągu wymienionego pięciolecia wyniósł zaledwie 124,289 głów. Nie zaokrąglamy tego rzędu cyfr, gdyż każda jednostka posiada w nim swoją wartość. W stosunku do ogólnej ludności kraju, około 40 milionów, procent ten jest wprost śmieszny; wywołał on gromy potępienia na wyrodków, którzy nie życzą sobie plenić się jak króliki, wytwarzać masowo mięsa na rzeź wojenną, ani też wydawać na świat nadmiaru siły roboczej, własnem współzawodnictwem zniżającej zarobki. Zwłaszcza wśród wrogów imienia francuskiego tryumf z tego powodu był bardzo wielki i takim pozostał do dnia dzisiejszego; niby płaczki pogrzebowe, zawodzą oni nad upadkiem patryotyzmu, jak gdyby jedno szło w parze z drugiem i powolny przyrost obywateli stanowił nieodłączny przymiot jednej tylko Francyi! Moralizatorzy, tak urągający temu krajowi, zapominają, że takiem a nie innem jest prawo wzrostu ludności w każdem społeczeństwie, hołdującem zasadom industryalizmu. Maluczko, a podobny zgrzyt patryotyczny da się słyszeć wszędzie!

Ale wydawnictwo urzędowe, krom tego rezultatu, o którym już sporo pisano, rzuca także światło na pewne inne szczegóły, może niewidoczne dla odurzonych widmem wyludniania, a które przecież posiadają znaczenie bardzo doniosłe. Mamy na myśli zupełny przewrót w rozmieszczeniu ludności kraju, świadczący, że w łonie jego silnie uwydatniają się prądy centralizacyjne, które mogą z czasem wydać owoce bardzo nieprzyjazne, groźniejsze aniżeli osławiona „depopulacya.“ Podczas gdy przyrost ludności w całej Francyi wynosił ową marną setkę tysięcy głów, w tem samem pięcioleciu przybyło miastom przeszło 340,000 mieszkańców, tj. blizko trzy razy więcej, aniżeli w całym kraju. Im dane miasto jest większe, tem liczba przybyszów pokaźniejsza! Ludzie z drobnych miasteczek uciekają do większych, z większych do głównych zbiorowisk. Ogólna fala ludności, jak wody dopływów, niesione wielkiem korytem do morza, podąża bezustannie ku Paryżowi. Stolica jest jakby magnesem, ściągającym mrowie ludzkie ze wszystkich zakątków kraju. Naturalnie u dołu tej hierarchii stoi wieś, która wyludnia się w sposób wprost przerażający.

Nie będziemy rozstrzygali pobudek tego przemieszczania się ludności, chociaż moglibyśmy sporo powiedzieć o dowcipie uczonych mandarynów, szukających powodów owego zjawiska tam, gdzie ich nie ma. Natomiast winniśmy wskazać doniosłość polityczną tego faktu. *Rural exodus* jest równie zjawiskiem, właściwem nietylko jednej Francyi; ale nigdzie „wyjście ze wsi“ nie ma takiego znaczenia. Zola w swoim *Pogromie* wybornie przeciwstawia charaktery i widnokręgi dziatwy stolicy a wieśniaków. Tamta, łatwo zapalna, radaby społeczeństwo przewrócić do góry nogami, ale ilekroć brała się do tego, zawsze napotykała hamulec w znienawidzonych *ruraux*. Mózgownica zachowawcza posiadacza drobnego lepiej broniła stateczności społecznej i skuteczniej działała, niż cała maszyna państwowa, która tylko dlatego dotrwała, że znalazła w ludności wiejskiej taki szaniec niezawodny. Zmniejszanie się procentowe ludności wiejskiej a wzrost miejskiej, nieustanne pęcznienie stolicy — wszystko to do gruntu przeistacza siły wzajemne tych dwóch potęg wrogich. Owo coraz silniejsze skupienie ludności w murach Paryża — to wzrost wrogów porządku społecznego.

Niepodobna, aby zachowawcy francuscy nie spostrzegli następstw tego prądu rozwojowego. Rozumieją oni doskonale, dokąd może on doprowadzić. Ale, jak dotychczas, nie mają żadnych środków zaradczych, tj. takich, które wydałyby jakiś owoc istotny. Raczej przyznają swoją niemoc wobec skutków żywiołowego przekształcania się stosunków społecznych w zakresie rozmieszczenia ludności.

Ż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Hrabia Paryża umarł! Oczekiwano śmierci już przez cały tydzień poprzedni i rozważano jego rolę w polityce. Obecnie w ciągu kilku dni ostatnich szpalty prasy zagranicznej i naszej przepełnione są sylwetkami i sądni-

stymi artykułami o tym bohaterze chwili, zmarłym fizyologicznie, lecz żyjącym w umyśle polityków i w sercach jego przyjaciół, którzy bezustannie marzą o zmianie formy rządu we Francyi i nie tracą nadziei, pomimo, że ze wszystkich postaci, które istniały od Wielkiej Rewolucyi, obecna trwa najdłużej, już bowiem zaczęła rok 25-ty. I oto po upływie ćwierci wieku naraz występuje nowy „kandydat do tronu,“ pochodzący z linii książąt sewilskich, Franciszek Marya. Ogłasza się on jako „jedyny prawowity spadkobierca korony francuskiej.“ Ta nowa niespodzianka zabiła klina do głów polityków i poplątała im wątek wniosków tudzież obliczeń. Cóż to za jeden? — zapytały w cichości redakcye zakłopotane i zaczęły się radzić różnych podręczników, które pozwoliły wyprowadzić jego rodowód i zbadać stan finansowy. Okazało się, że ten ostatni jest bardzo lichy; pretendent do tronu ma... płótno zwyczajne w kieszeni, co wobec milionów syna hr. Paryża jest oczywistą porażką nawet na polu... reklamy. Cóż wart taki kandydat, który nie ma nawet środków na wyrobienie sobie rozgłosu? Co zaś do rodowodu — sprawdzono, iż nowy rościciel ma tylu krewniaków, że gdyby każdy z nich zechciał również sięgnąć po koronę, nie wystarczyłoby jej nawet na szpilki do krawatów.

Gdy nad Sekwaną bawią się i dowcipkują z powodu różnych roszczeń do tronu, zawieszonego w obłokach, gdy przyjaciele zmarłego hr. Paryża chcą w oczach jego syna zobaczyć to, co ojciec widział przed zgonem: „piękne niebo Francyi i jutrzenkę wielkiego dnia sławy i szczęścia“ — w Niemczech zajęła i rozpaliła umysły mowa cesarza Wilhelma, wypowiedziana przy obiedzie w Zamku Królewieckim: „Przed czterema laty rzekłem, że Prusy Wschodnie, jako rolnicze, przedewszystkiem powinny posiadać zamożny stan ziemiański — podporę i fundament mojej monarchii. W ciągu czterech lat ciężkie troski dotknęły rolników i zdaje mi się pod wpływem tego wyrosły pewne wątpliwości co do spełnienia obietnic moich. Co więcej: ze zbolałem sercem muszę powiedzieć, że nawet w najbliższych im kołach szlacheckich źle wytłomaczono moje zamiary i przeciwko mnie walczono... Co was dręczy, odczuwam i ja w swojej osobie, gdyż jestem największym właścicielem ziemskim w naszem państwie; wiem dobrze, jak ciężkie nastały czasy. Codziennie myślę o tem, jak wam pomódz, lecz i wy winniście mnie wspierać, nie krzykiem i nie na drodze tak przez was zwalczanej partyi opozycyjnej klasowo-zawodowej. Moje drzwi stoją otworem dla poddanych i każdemu chętnie udzielam posłuchania. Niechaj taką będzie wasza droga na przyszłość. Co do mnie — zapominam o wszystkiem co się stało.“ To są ważniejsze szczegóły mowy, które będą przędzą do wysnuwania długich nici na wzorzystą tkaninę „podmuchów politycznych.“ Już dziś mowę cesarską pisma niemieckie w różny sposób tłomaczą. „Nie wolno zaprzeczać żadnemu obywatelowi państwa prawa wyrażania poglądów opozycyjnych, bez względu na to, czy nosi szlacheckie, czy inne imię — woła gorąco *National Ztg.* Z drugiej znów strony szlachta, jako całość, nie ma ani prawa, ani powołania ku temu, aby służyć za wzór; wzorami mogą być tylko pojedyncze jednostki, nigdy zaś cały stan.“ Organ powyższy przyznaje wszakże znaczenie mowie cesarskiej ze względu, że zwraca się do koła politycznego. Z tego powodu przymówki, uczynione przywódcom „demagogii agrarnej,“ są zupełnie usprawiedliwione. „Odniosą jednak skutek wtedy, jeżeli za niemi pójdą fakty, dowodzące, że w razie dalszego podburzania mas ludowych utracą ci panowie swoje stanowisko uprzywilejowane. Wezwaniem do walki przeciw stronnictwom przewrotu cesarz otwiera im drogę nawrócenia...“

Innego rodzaju, ale również sensacyjną mowę wygłosił Crispi w Neapolu. Zalecał on solidarne postępowanie władzy cywilnej i religijnej, „ażeby obałamucony lud zwrócić na drogę sprawiedliwości i miłości.“ Tłum wyprawił mówcy za to gorące owacye, a radykaliści gwałtownie go zaatakowali. W związku z ujawnionem stanowiskiem Crispiego pozostaje ustanowienie prefektury apostolskiej we włoskiej kolonii erytrejskiej, przez co zatamowaną została w Afryce gospodarka francuskiego zakonu lazarytów, działającego tam w interesie Francyi. Fakty powyższe mają doniosłe znaczenie, świadczą bowiem o łagodzeniu się zbyt ostrych dotąd stosunków między rządem a Watykanem, co oczywiście nie pozostanie bez wpływu na bieg spraw politycznych.

„Dzikusy“ ciągle się burzą przeciwko cywilizatorom — europejczykom. Niema prawie dnia, ażeby druty telegraficzne nie przyniosły nam nowych szczegółów o „uśmierzaniu“ zuchwałych w różnych koloniach afrykańskich i azyatyckich. Zbuntowane plemiona kabylów atakują już młodego sułtana Marokku. Drży on o własne życie i o stosunki dyplomatyczne z państwami europejskiemi, tem bardziej, że owi zbuntowani dziś już rządzą faktycznie. Nienawiść maurów względem europejczyków jest tak silna, że sułtan ostrzega Europę, aby nie przekraczała granic Fezu; obecnie bowiem nawet w Tangerze przedstawiciele cywilizacyi nie są bezpieczni.

Rozsiewane w ostatnich dniach przechwałki chińczyków o ich przewadze nad japończykami coraz mniej zasługują na wiarę. Bo w takim razie „zwycięzcy“ nie degradowaliby swych dowódców za nieudolność. Już dwóch „dzielnych“ wodzów państwa niebieskiego doznało takiego losu. Przytem rząd chiński zamierza prosić Anglię o przyjęcie roli rozjemczyni. To chyba także nie jest świadectwem przewagi w wojnie.

BADANIA NAUKOWE.

SPIRYTYZM I JEGO ZNACZENIE.

(Dokończenie).

Już sam ten fakt, że sławne w swoim czasie medya, takie, jak: Bławacka, Cumberland i Slade, zostały zdemaskowane, podejrzanemi czy-

---

3)

KLUB SZACHISTÓW

KOMEDYA.

II.

Przyjęcie Urbina do klubu było wypadkiem bardzo ciężkim. Naprzód stowarzyszenie zawiązało się niemal odrazu w obecnym składzie jako kółko przyjacielskie, z ludzi dobrze wzajem znajomych, i właściwie dotąd nie wprowadziło żadnego nowego członka. Powtóre, zaznaczone na poprzedniem posiedzeniu niebezpieczeństwo zdrady tajemnic i dostrzeżone próby w tym kierunku rzuciły popłoch. Potrzecie, dopuszczenie jeszcze jednego człowieka do znajomości sekretnych wyznań przejmowało każdego, jeśli nie strachem, to niechęcią. Wszyscy oni bowiem, zakładając klub, mieli dość odwagi do szczerego otwarcia przed sobą swych dusz, ale gdy pierwszy zapał ochłódł, gdy owe spowiedzie, własnoręcznie spisane, spoczywały w skrzyni, skąd mogły być skradzione i złośliwie zużytkowane, gdy do nich teraz dano swobodny dostęp członkowi nowemu, niemiłe dreszcze obiegły szachistów. Nadto dołączyła się jeszcze jedna okoliczność: Urbin nie był im obcy; wszyscy postawali z nim w dalszych lub bliższych stosunkach i wszyscy — jak tego wymaga życie — grali przed nim komedyę, którą on teraz miał przejrzeć z za kulis. A i on sam uległ bardzo naturalnej febrze: w pierwszem uniesieniu odsłonił swe życie przyjacielowi, ale skoro nadeszła chwila ukazania całej jego nagości innym, którzy dotychczas patrzyli na niego z szacunkiem a nawet podziwem — uczuł gorąco wstydu. Niepodobna wszakże było cofnąć się — i Urbin przybył na zebranie klubu.

Był to mężczyzna trzydziestoletni a tak chudy, że prawie znikły mu mięśnie. Z twarzy, ocienionej brunatnymi włosami i jaśniejszym zarostem, bił jakiś namiętny ascetyzm. Piwne oczy gorzały mu mocno, a na ustach ważył się wyraz wielkiego znużenia, czy też bolości. Możnaby go nazwać przystojnym, gdyby nie był zbyt chudym i zbyt długim. Za długą miał twarz, za długi nos, brodę, całą wreszcie postać.

Prezes powitał go życzliwie i ośmielająco.

— Jeżeli uroczyste przysięgi ludzkie w poważnych przedsięwzięciach mogą mieć jakąś moc, to ma ją nasza, którą zobowiązujemy się przed tobą — od chwili wstąpienia do klubu przestajemy być dla siebie panami — że ani jedno słowo twojej spowiedzi nigdy nie wyjdzie po za nasze myśli. Nawzajem ty nam przysięgniesz, że pozostaniesz niemym dla świata co do tajemnic naszych, które masz prawo poznać. W tej skrzyni leżą spisane nasze wyznania, które wolno ci odczytać. Artykuł 15 statutu zastrzega, że gdyby którykolwiek z członków zdradził najdrobniejszą cząstkę sekretów stowarzyszenia, inni ogłaszają publicznie, w sposób przez się wybrany, jego własnoręcznie spisane zeznanie wraz z dodatkiem ustnych objaśnień. Dotychczas nie potrzebowaliśmy używać tej broni i zapewne jej nie użyjemy. Nie uznajemy bowiem żadnego z naszych towarzyszów zdolnym do popełnienia takiej niecnoty, zwłaszcza że ona nietylko narażiłaby honor wielu ludzi, ale zniszczyłaby pożyteczną instytucyę. Nazwaliśmy ją klubem szachistów dlatego, ażeby zakryć przed tłumem rzeczywisty nasz cel i tem swobodniej módz pracować. Cel ten zaś polega na zebraniu ze szczerych spowiedzi członków materyału psychologicznego, któryby nam pozwolił rozświetlić trudną i powikłaną zagadkę prawie powszechnej dwoistości, a nieraz wielolicowości natury człowieka. Nie będę ci tłomaczył tego szczegółowo, bo sam to zrozumiałeś w swoim życiorysie. Nic przyniosłeś z sobą na świat żadnych złych skłonności, pragnąłeś być uczciwym i mimo to dopuściłeś się szeregu czynów, do których sam czujesz wstręt moralny. W podobnem położeniu znajdujemy się wszyscy. Otóż staje przed nami ciekawe pytanie psychologiczne: czy przyczyna tych zboczeń tkwi w naszej organizacyi, czy w jakiejś osobnej chorobie woli, czy w warunkach życia? Na pytanie to nie można dać odpowiedzi inaczej, tylko po zbadaniu rzetelnych, żadną obłudą lub skrupułami niesfałszowanych spowiedzi dusz, które umieją się obserwować. Gdy zgromadzimy wystarczający materyał, jeden z nas przerobi go na dzieło naukowe.

— I mnie — rzekł Urbin — oddawna

ni wszystkie wogóle medya; powątpiewanie musi być jeszcze większe wobec tego, że wszystkie cuda spirytystyczne umieją doskonale odtworzyć tak zwani prestidigitatorowie, czyli po prostu kuglarze — i to z większą jeszcze zręcznością, niż najsławniejsze medya. Nie dość tego; cuda owe bywają zwykle wykonywane w warunkach, obrachowanych, jakby naumyślnie na to, ażeby uniemożliwić bliższe ich poznanie. Cały nastrój posiedzenia wystarcza już do zahypnotyzowania mniej odpornego umysłu, chociażby był najtrzeźwiej usposobiony. Wiele także daje do myślenia i ta okoliczność, że nie każde medyum uzdolnione jest do robienia wszystkich cudów. Zachodzi więc pytanie, skąd ta różnica między niemi? Przyczyną jej nie może być siła tajemnicza, którą każde jest obdarzone, gdyż istota jej musi być ta sama; potrzeba jej więc szukać w osobistem uzdolnieniu różnych medyów, nabytem przez wprawę. Poświadcza to wyraźnie naiwne zwierzenie się pewnego medyum, że nie każde doświadczenie udaje się odrazu, że niektóre z nich wymagają roku pracy ciężkiej i wytrwałej. Szczegół ten podaje gorący zwolennik spirytyzmu, Witold Chłopicki. Zważywszy to wszystko, potrzeba się zgodzić ze zdaniem Wundta, wypowiedzianem w liście do Fichtego młodszego, że do zbadania cudów spirytystycznych bardziej się nadaje zręczny agent policyjny, niżeli uczony.

Żądać więc od nauki, ażeby ta uznala za fakt rzeczywisty rzeczy nieznane, a co więcej otaczane głęboką tajemnicą, jest to wymagać od niej, ażeby przestała być tem, czem być powinna: ścisłem badaniem, opartem na doświadczeniu. Może ona przyjąć za prawdę to tylko, co jest dowiedzionem. Jak dotąd, żadnego z cudów spirytystycznych nie dowiedziono. Dla tego też, gdyby nauka zechciała je uświęcić własną powagą, sprzeniewierzyłaby się swemu zadaniu. Powiedzmy wyraźniej: zbłaźniłaby się. Pomijając bowiem, że brałaby rzecz na wiarę, bez jej sprawdzenia, podnosiłaby do wysokości to, co żadnego zgoła znaczenia nie ma ani pod względem praktycznym, ani teoretycznym. Czem bowiem są te zjawiska spirytystyczne wobec zwykłych sił przyrody? Niczem innem, jak nieudolną farsą, dziecinnem przedrzeźnianiem, arlekinadą, usiłującą słabym głowom zaimponować sztuczkami. Czy potrafiono za pomocą owych sił nadprzyrodzonych zmienić w czemkolwiek naturalny przebieg zjawisk ziemskich, wywołać jakiś trwały skutek ich działania, świadczący naocznie o ich potędze? Czy wogóle spirytyzm zdoła wytrzymać porównanie z jakimkolwiekbądź cudem przemysłu ludzkiego, który posługując się siłami przyrodzonemi, zmienia postać rzeczy, nadając jej własności odpowiednie przeznaczeniu? Czy mocą tych sił tajemniczych, jakiemi są uposażone różno medya, daje się rozbroić piorun, wiszący nad ziemią, czy za ich pomocą można przesuwać z miejsca na miejsce ciężkie wozy, jak to robi elektryczność, albo zapanować nad żywiołami przyrody i zaprządz je do ciężkiej pracy zamiast człowieka, jak to czyni mechanika?!.. Wszystko to, co dotąd spirytyzm na stwierdzenie swej prawdziwości może przytoczyć, jest tak dziecinnem, pozbawionem wszelkiej doniosłości, że nie zasługuje na to, aby się nim zajmować na seryo. Wprawdzie ktoś wyrzekł, że największą jego zasługą jest to, że dowodzi on nieśmiertelności duszy. Powiedzmy raczej, że chyba nieśmiertelności głupoty ludzkiej, która nawet do najbardziej rozwiniętego mózgu zakrada się zdradziecko i figle mu płata.

Do zjawisk spirytystycznych zaliczają, oprócz cudów czysto fizycznych, także objawy psychiczne, a mianowicie: pisanie automatyczne, jasnowidzenie i halucynacye sprawdzające się. Pierwsze stwierdziła nauka, ale zarazem wykazała, że jest ono objawem chorobowym. Przyczyna jego tkwi w tak zwanem *rozprzężeniu osobowem*, którego najwyższym stopniem jest pomieszanie, najsłabszym zaś roztargnienie, polegające na tem, że wykonywa się pewną czynność, chociaż umysł nasz jest zajęty czem innem. Jednym z objawów owego rozprzężenia jest zdwojenie osobowości, które ostatnimi czasy zostało dokładnie poznane.

Co się tyczy przeczucia, jasnowidzenia i halucynacyi sprawdzających się, to o nich do dziś dnia ze stanowiska naukowego nie da się nic pewnego powiedzieć. Dla ich zbadania powstały towarzystwa w Londynie, Paryżu i Ameryce, zebrano w tym celu dość obfity materyał, a nawet ogłoszono osobne dzieło, które na podstawie szczegółów nagromadzonych dochodzi do wniosków dodatnich, chociaż przekonywających tylko ludzi łatwowiernych. Już z samej natury tych zjawisk, czysto podmiotowych, wszelkie metody przedmiotowego sprawdzenia na nic się w tym wypadku nie zdadzą. Czyni zaś niemożliwem ich zbadanie ta okoliczność, że nie są one objawami powszechnymi i że wyłącznie prawie przytrafiają się osobom, które jaknajmniej bywają uzdolnione do samo-spostrzegania, a mianowicie kobietom i ludziom praktycznym.

Tak się przedstawia spirytyzm, rozważany pod względem faktycznym; nie lepiej, a nawet gorzej, gdy weźmiemy jego stronę teoretyczną. Mniejsza już, że spirytyści, którzy zdaje się więcej wiedzą o tem, co jest po za światem, niżeli w świecie, nie umieją stanowczej dać odpowiedzi na to, mocą czego dokonywają się wszystkie ich cuda — i różniąc się w swych zapatrywaniach pod tym względem, tworzą liczne sekty, walczące wzajemnie z największą zaciekłością. Ważniejsze jest to, że spirytyzm dotąd nie wypowiedział ani jednej myśli, którąby ludzkości oddawna nie była już skądinąd znaną. Jego pojęcia o świecie duchowym są zapożyczone od starych mistyków, których spirytualizm nie wiele się różni od najgrubszego materyalizmu. Teorye zaś o zjawiskach nadprzyrodzonych tudzież naturalnych są wręcz przeciwne najelementarniejszym pojęciom naukowym. O pogodzeniu z wiedzą ludzką, o czem marzą tacy spirytyści, jak Du Prel mowy nawet być nie może. Wiedza i spirytyzm wzajemnie się wykluczają. Jeżeli tacy uczeni, jak Crookes, Wallace, Du Prel i inni, są zarazem spirytualistami — daje się to wytłómaczyć tylko tem, że podlegają oni zdwojeniu osobowości.

Władysław Kozłowski (Lwów).

---

zajmowała ta kwestya, chociaż nie wpadłem na właściwą drogę jej rozwiązania. Rzeczywiście wasz pomysł jest najlepszy i może jedyny. Co zaś do mojej osoby, zdaje mi się, że ten materyał pomnożę bardzo obficie. Zawsze usiłowałem być jednolitym i uczciwym, ale dziś ta chęć stała się we mnie manią, pragnieniem, górującem ponad wszystkiemi innemi. Mimo wszakże tego pragnienia, mimo boleści, jaką uczuwam po tylokrotnem przeniewierzeniu się mu, z doświadczeń przeszłych i ze znajomości natury swojej wnoszę, że nie osiągnę nigdy celu i że ciągle dopuszczać się będę rozmaitych obrzydliwości moralnych. Jestem też bezmiernie nieszczęśliwym, gdy myślę, że dojdę do kresu życia ze wzgardą dla siebie.

Dotychczas ani razu nie panował w klubie szachistów tak tragiczny nastrój. Jego członkowie mieli istotnie poważne zamiary, ale przykre uczucia starali się od czasu do czasu osłabiać rezygnacyą.— Cóż robić, kiedy tacy jesteśmy! — powtarzali. Urbin wypłaszał tę pociechę.

— Nie chodzi mi tu wcale o obłudę — mówił z coraz większem przygnębieniem. Może ona być niesympatyczną, nawet szkodliwą, ale nie jest ani głupią, ani nieuleczalną. Wszystkie istoty, które prowadzą walkę o byt, muszą być obłudne. Jeżeli ptak, przytuliwszy się do drzewa, naśladuje kawałek jego kory, ażeby się obronić przed nieprzyjacielem, lub udaje martwego, ażeby złapać zdobycz, to go rozumiem i ganić nie mogę. Jeżeli ktoś gra rolę mojego przyjaciela, ażeby mnie oszukać, to również go rozumiem, chociaż ganię. To są czyny świadomie zamierzone i wypływające z woli. Najpodlejszy występek, dokonany w zgodzie z nią, sprawia mi mniejszą odrazę, niż najmniejsze wykroczenie wbrew chęci. Bo czyż to nie oburza, że ja, człowiek ukształcony, rozważny, szczerze pragnący dobra, nie mam tak marnej siły, jakiej potrzeba dla powstrzymania się od kroku, na który przedtem się wstrząsam? Nie zmusza mnie do niego ani gwałtowna żądza, ani interes, ani rachuba, nic — a jednak z całą moją wiedzą i zasadami moralnemi włażę w jakieś błotko, które mi cuchnie. Parę kieliszków alkoholu, często tylko dobry humor i pustota lub lenistwo w zwalczaniu pokusy — i ot z idealisty robi się zwyczajny prosiak. W tej chwili rozprawiam o tej ohydzie, czuję w duszy jej niesmak, piętnuję się i chłoszczę za nią, a za godzinę wyjdę stąd, ponętna kobietka otrze się o mnie — i cała mądrość, cała skrucha pryśnie, jak bańka mydlana. Czy to nie głupie, nie podłe i nie rozpaczliwe?

— Wychowanie—prawił dalej—i wszystkie późniejsze wpływy uszlachetniające starają się o to tylko, ażebyśmy umieli na pamięć reguły moralne i uznawali ich wartość. No, ja i wy umiemy je na pamięć, szanujemy ich wartość — i cóż z tego? Włażą one w nasze myśli, rozpływają się w naszych uczuciach, ale nie wsiąkają w naszą wolę. Niechaj ktoś tak mnie wychowa i tak umoralni, ażebym nie zdołał nic takiego popełnić, co dla tych myśli jest głupie, a dla tych uczuć wstrętne. Niech mnie kto nauczy tego, ażebym, będąc człowiekiem rozumnym i uczciwym, nie zajrzał przeciwnikowi przy grze w karty, nie uwiódł ładnej kobiety, która nie stawia oporu, ażebym nie zamknął oczu na cudzą niedolę itd. Powiedzcie mi szczerze, czy którykolwiek z was potrafi tak mnie lub siebie ukształcić?

Milczeli.

— A czy może zbadaliście, dlaczego ludzie zacni w teoryi, są niegodziwcami w praktyce?

— Zbieramy dopiero materyał — odozwał się prezes.

— Ha, będę go zbierał z wami, ale jeżeli po upływie pewnego czasu nie wydobędziemy z niego rozwiązania zagadki, machnę ręką na cały wasz bzdurny klub i założę inny. A wiecie jaki? Taki, w którymby członkowie wynajdywali sposoby przerabiania ludzi uczciwych w teoryi a niemoralnych w praktyce na skończonych łotrów, podłych w woli i w czynie, jednolitych. Dla ogółu, dla świata wszystko jedno, czy mu wyrządza krzywdy ideolog, czy niepoń, a przynajmniej ci niepornie będą szczęśliwi, bo się uwolnią od wewnętrznego rozdwojenia i rozdźwięku.

Ale dosyć już na dziś filozofii. Pożegnam was, bo muszę wyjść na spotkanie pewnej pokusy, która mi drogę zachodzi i której prawdopodobnie ulegnę. Mam nadzieję, że z niej dostarczę wam dużo pouczającego materyału.

Wyszedł.

— Dobry z niego nabytek—rzekł prezes.

— Radykał — wtrącił ktoś z boku.

Inni pogrążyli się w zadumę.

(D. c. n.).

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Początki myśli filozoficznej. — Monizm pierwotny. — Rola zwierząt w pierwotnym poglądzie na wszechświat i siły przyrody. — Zdetronizowanie władców i upadek filozofii zooteistycznej. — Kilka przykładów tego rozwoju. — Kierunek rozwoju dawnej myśli filozoficznej.

Historycy, spętani przesądem, że tylko tam dzieje się coś godnego uwagi, gdzie można z potoku rozwojowego wyławiać mnóstwo nazwisk, wynaleźli też dla początków myśli filozoficznej praojca. Tales, jeśli nas pamięć nie myli, ma rozpoczynać swoją osobą owo pasmo dociekań względem istoty wszechrzeczy. Niestety, historycy mylą się, bo dzieje ludzkie nie znają w tej dziedzinie takiej chwili przełomowej. Człowiek zawsze filozofował w przeszłości i na pewno będzie to czynił także nadal. Nie wątpimy, że przed Talesem były miliony filozofów—świadomie stawiamy tę cyfrę mimo jej ogromu. A jeżeli koniecznie winniśmy poszukiwać gdzieś początków filozofii, wtedy udamy się za przykładem van Endena i sięgniemy do świata zwierzęcego. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że każde z wyższych zwierząt usiłuje jakoś pojąć otoczenie i to przyczynowe powiązanie stosunków, w jakiem żyć mu wypada, mniejsza, że nie jest zdolne wypowiedzieć tych wniosków, do których doszło, a które kierują jego postępkami. Socyologia mieszczańska, dumna ze zdobyczy swojej epoki i w naiwnej ufności pogrążona, że świat stanął już w swoim rozwoju, wydawszy z siebie duszne miasta i brudne fabryki, patrzy z pogardą na dzikusa, jak gdyby to była istota, pozbawiona wszelkich potrzeb umysłowych. Jednak jest to pogląd nawskróś fałszywy. Muszę przyznać, że przeciętny australczyk więcej filozofuje, tj. rozmyśla nad zagadkami bytu, aniżeli członek naszej cywilizacyi europejskiej, spętany walką o utrzymanie. Nawet najniższe szczepy posiadają wypracowane systemy poglądów na wszechświat pod postacią mitów. Są one wprawdzie pełne bzdurstw, ale mimo swojej nieudolności i prostactwa, nie przestają być tem, czem są, niekiedy zaś, jak np. u nowozelandczyków, brzmią w ten sposób, iż niejeden z imiennych filozofów Hellady starożytnej nie dał nic lepszego. Przyczynowość jest tam uznaną kategoryą, podobnie jak w naszej filozofii, chociaż naturalnie jest inaczej ukształtowaną w swojej treści i stosunek przyczyny do skutku bywa pojmowany niekiedy w sposób nadzwyczaj dziecinny. Filozofia jest więc dobytkiem dalekiej przeszłości, religie zaś dzikie — jej najpierwszem usystematyzowaniem. Kto zaś połączy w jedną całość poglądy jakiegoś buszmena z wywodami Comte'a albo Spencera, ten dokona bezwarunkowo bardzo wdzięcznej pracy. U dzikusów istnieją nawet szkółki filozofii. Posiadali je maorzy, miały różne plemionka czerwonoskóre. Rozumie się, miejsca te nie nosiły na sobie piętna biurokratycznego i raczej przypominały wolne akademie greckie. Ale swoją drogą są to szkoły, tj. zbory, gdzie plemieńcy rozprawiają o tem, co widzą dokoła siebie, dociekają początków rzeczy, ćwiczą swoją niedołężną myśl krytyczną i uczą się wyszukiwać związków przyczynowych pomiędzy zjawiskami według głębszej podstawy. W obecnym szkicu zatrzymamy się właśnie nad jednym ustępem z kosmogonii pierwotnej, wykazującym nam, jak pojęcia o świecie rozwijały się w miarę postępu myśli.

Zaznaczmy, że gdy wiedza zwraca się do studyów nad filozofią pierwotną, napotyka po drodze przeszkody nielada. Nawet najniżej stojące z obecnych szczepów rodu ludzkiego wybiegły daleko po nad poziom umysłowości pra-dzikiej. Co do nas, członków cywilizacyi, to zupełnie straciliśmy poczucie, czem ona była. Wiele zwyczajów i poglądów na zawsze ukryją przed nami swój rodowód, ponieważ w naszej umysłowości nawet nie posiadamy pierwiastków tego, co było ongi. Niejedną z nici rozwoju umysłowego oddawna stargano i tylko niewyraźne jej resztki pozostały jeszcze w kanwie poglądów buszmena lub andamańczyka, ale tak zmienione, że z tych mizernych szczątków niepodobna odbudować odległej całości. O ile jednak godzi się wnioskować z obrzędowych przeżytków totemizmu, z kultu przedmiotów martwych, z tułających się tu i owdzie szczegółów, człowiek pierwotny był monistą. To znaczy, w całej przyrodzie widział on rozlane życie, materyi nie przeciwstawiał siłe, ciała duchowi. Zarówno skały, jak ruczaje, błyskawica i wąż, chmura i drzewo, były w jego rozumieniu istotami żywemi, zdolnemi do celowej i świadomej działalności. W naszem wyrzeczeniu „ściana się poci," tkwi jeszcze ów starodawny pierwiastek monistyczny. „Jeżeli użyjemy wyrazu *kult* w jak najszerszem znaczeniu — mówi ktoś o pewnem plemieniu czerwonoskórem — wtedy możemy powiedzieć, że oddaje ono cześć niemal każdej rzeczy w przyrodzie. Nietylko człowiek, ale słońce, księżyc, gwiazdy, wszystkie niższe zwierzęta, drzewa i rośliny, rzeki i jeziora, niektóre głazy i osobno stojące skały, nawet wzgórza i odosobnione wyniosłości, słowem wszystko, czego człowiek nie zrobił swoją ręką, co ma istnienie niezależne i może być pojedynczo rozpatrywane, posiada własnego ducha. Cień np. drzewa bawełnianego, najwyższego w dolinie rzeki Misisipi, obdarzony jest inteligencyą, która, właściwie zużyta, może pomódz w wielu sprawach." Zwłaszcza świat zwierzęcy był dla umysłu pierwotnego pełen dziwów, sił tajemniczych i wyższych potęg. Zaiste, trzeba się wyzwolić zupełnie z powijaków naszego bytu cywilizowanego, ażeby uprzytomnić sobie tę rolę zwierząt, dzisiaj ujarzmionych przez człowieka. Ale cofnijmy się do tych zamierzchłych czasów, kiedy nasz przodek, nagi i bezbronny, tułał się wśród gąszczów leśnych i spędzał noce w jaskiniach lub może, co jest prawdopodobniejsze, w gniazdach na drzewach. Nie odznaczał się ani siłą mięśni, ani drapieżnością pazurów, nie miał kłów ostrych. Zróżniczkowanie kończyn i pewna doza większej inteligencyi stanowiły jedyny jego oręż w walce o byt. Z jakim podziwem musiał patrzyć na czworonożnych drapieżników, które swoim rykiem rzucały postrach na lękliwe zwierzęta roślinożercze. Jeszcze dzisiaj zuńczyk uważa ryk pantery za coś mistycznego. Zowie się on *Sawaniki*, tj. „czarodziejskim środkiem niszczenia," swoją siłą tajemniczą czaruje zmysły zwierząt i pozbawia je przytomności. Indyanin więc na polowaniu, zanim puści strzały, wydaje taki dźwięk ze swoich piersi... Albo jak pierwotny dzikus miał tłomaczyć działanie magnetyczne wzroku węża na zdybaną ofiarę? Czyż znowu w tej władzy nie ukrywało się coś wyższego, tajemniczego? Człowiek więc wyrabia sobie o zwierzęciu i jego potędze pojęcie wygórowane. Siły przyrody wciela w postacie zwierzęce; one to, te wyższe węże, mistyczne orły zsyłają deszcze, sprawiają huragany, sieją choroby i zarazy. Jeszcze u obecnych szczepów dzikich istota ludzka w świecie zwierzęcym szuka pomocników i opiekunów. Nawet w pojęciach ludu naszego kukułka może pomnożyć zasób pieniędzy, znajdujący się w czyjejś kieszeni, puszczyk swoim piskiem zwiastuje śmierć, woły przy żłobie w noc Bożego Narodzenia rozmawiają z sobą i przepowiadają zdarzenia całego roku. Ale są to już tylko pojedyńcze i połamane cegiełki z filozofii pierwotnej, wmurowane w zgoła obcym zrębie. Jak zaś gmach starodawny wyglądał, o tem da raczej pojęcie klechda swojska o królewiczu i jego opiekunie-wilku, na którego grzbiecie bohater udaje się po ptaka złotego. Nieodzowną była głęboka rewolucya w całokształcie techniki i w źródłach, z których człowiek czerpie utrzymanie, ażeby zwierzę zostało zepchnięte z takiego stanowiska. Kiedy ujarzmił on niektóre ssaki, gdy nauczył się podstępem niszczyć inne drapieżniki lub wytępił je z powierzchni ziemi, dopiero naówczas zdetronizował swoich dawnych panów, nieświadom zaś jeszcze mechanizmu przyrody, wyniósł na to miejsce kształty ludzkie. Mamy przed sobą zbiór faktów, przewybornie uzmysławiających ów rozwój od filozofii zooteistycznej do antropomorfizmu sił przyrody. Czem była chmura i czem być mogła w rozumieniu umysłowości pierwotnej? Lud nasz uważa ją za ciało galaretowate, wśród którego uwijają się czarni planetnicy i krzeszą błyskawice. Ale daleki nasz praprzodek nie dotarł był nawet do takiego pojęcia. Obłok, który sunął się po niebie i przybierał różne kształty fantastyczne, był dla niego istotą żywą, prawdopodobnie czemś z rodzaju ptaków. Wskazuje to jeszcze mnóstwo wyobrażeń, istniejących tu i owdzie u szczepów niższych. Zdaniem ludności, zamieszkującej południową krawędź lądu afrykańskiego, grzmot jest sprawiany przez olbrzymiego ptaka mistycznego, poruszającego skrzydłami. Kiedy piorun uderzy w jakiś przedmiot, np. w dom lub drzewo, oznacza to, że ptak ów spuścił się na ziemię i pozostawił po sobie w tem miejscu jaja, z których, jeśli one nie zostaną zniszczone, wylęgną się nowe pisklęta gromowładne. Czarodzieje więc niszczą je swojemi zaklęciami. Wzdłuż i wszerz lądu północno - amerykańskiego rozpowszechnioną jest wiara w podobne ptactwo mityczne, które skrzydłami sprawia grzmot. Jeszcze krok dalej, a będziemy już u progu antropomorfizmu. „Grzmotodzierżcy—mówi o folklorze tetońskim J. Owen Dorsey — mieszkają w obłokach. Głos ich jest donośny, otwierają oczy swoje tylko wtedy, gdy chcą zrobić błyskawicę; posiadają skrzydła." Podania czerwonoskórych przedstawiają swoich płanetników zawsze ze skrzydłami i przyodziewają ich w szaty chmurokształtne; jeszcze częściej, lubo ich czynią postaciami ludzkiemi, dają im krowniaków zwierzęcych. Orzeł bywa kumem lub powinowatym. Od tego już niedaleko do gromodzierżcy Zeusa, z błyskawicą w ręku, z orłem na swoje rozkazy. Przytoczyliśmy jedynie poglądy, charakteryzujące, jak umysł prostaczy przedstawia sobie pewien dział zjawisk przyrody. Jeszcze więcej mielibyśmy ciekawych szczegółów, gdybyśmy się zatrzymali nad podziałem świata i jego przedmiotów w wyobraźni dzikusa. Chmura zawsze jest umieszczana w dziale ptaków, tęcza, niekiedy zaś błyskawica — śród wężów itd. Albo rzućmy okiem na inny dział: góry i skały. Z przytoczonej już wyżej cytaty widzieliśmy, że są one uważane jako coś żywego. W podaniach czerwonoskórych wciąż jest mowa o „mięsie" góry, tj. kiedy odrywane są od niej głazy dla wyrobu oręża. Eskimowie w takich razach wzamian dają górze różne upominki, jak żywej osobie. Zresztą w obecnym stanie umysłowości dzikiej uchodzą skały raczej za domy duchów, które tam we wnętrzu mieszkają, wchodząc i wychodząc drzwiami niewidzialnemi. Duchy górskie oraz zwierzęta mityczne, panujące w owej okolicy, są przedstawiane z ciałem kamiennem.

Słowem, w pewnym okresie dziejów człowiek życiem obdarzył wszystko, co widział dokoła siebie. Ruczaj, szemrzący w gęstwinie, chmura, co z grzmotami i śród błyskawic sunęła po niebie, tęcza, góra, z której spadały głazy i przygniatały śmiałka nieostrożnego,— wszystko to były

istoty żywe. Pomiędzy niemi jedne potężniejsze, inne nie tak wpływowe. Bardziej tajemnicze stały wyżej w hierarchii szacunku, jaki względem nich żywił nasz praprzodek. Różne te przedmioty (zorza bowiem, tęcza są jeszcze dla dzisiejszego dzikusa raczej przedmiotami, aniżeli zjawiskami) miały najczęściej kształty zwierzęce, bo ów pierwowzór był najlepiej znany, i według niego odtwarzano w wyobraźni nieznane, on także dostarczał pierwiastku tajemniczych wpływów na odległość i dał pierwsze pojęcie o czemś mistycznem. Istota ludzka zwolna wychodzi z powijaków tej filozofii. Zaczyna wyróżniać „przedmioty“ „mniej żywe“ od bardziej życiem obdarzonych, np. chmurę od góry, a znalazłszy w stanach fizyologicznych swojego organizmu pewne wskazówki, zamiast monizmu wysnuwa wątek poglądów dualistycznych. Z drugiej strony odkrycie za odkryciem potęguje panowanie człowieka nad przyrodą, który coraz więcej wyrasta na władcę globu ziemsklego. Dla przedmiotów więc, nad którymi rozciągnął swoją moc, zniknął dawny szacunek. Przedewszystkiem schodzą z wyżyn zwierzęta, zooteizm przestaje być kluczem do rozumienia świata i wyzyskiwania sił jego.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Balady D. G. Rossetti'ego *).

Niedawno zwiedziłem Zermatt. Gdy wzniesiony na jednym z jego wierzchołków (Gorner Grat), spoglądałem na otaczający mnie w promieniu kilkudziesięciu tysięcy metrów nieprzerwany wieniec majestatycznych lodowców i gór śnieżnych, byłem oszołomiony rozrzutnością i arystokratyczną bezużytecznością najwspanialszych tworów natury. Tacy są wielcy artyści. Oddaleni od życia, spoglądają na nie, jak na szczytną procesyę pełną ironii, ze śmiechem bogów, rozlegającym się daleko, w głębi sceny: Takim był Dante Gabriel Rossetti. Cóż jego dzieła — zwłaszcza balady — mają wspólnego z naszym wiekiem, pełnym wyrachowania i utylitaryzmu? A jednak dopóki ostatni mózg ludzki drgać będzie uniesieniem przy rzeczach wzniosłych, Alpy i dzieła wielkich artystów będą przedmiotem zachwytów powszechnych.

Rossetti jest idealistą, zamiłowanym w cielesności. Ta właściwość jego umysłu najbardziej występuje w baladzie „The Blessed Damozel.“ Temat zupełnie oddalony od realizmu, a jednak poeta ani na chwilę nie zapomina o kolorze i kształcie swych widzeń. „Panna wybrana pochylała się nad złotą baryerą niebios; jej oczy były głębsze niż toń spokojnych wód wieczorem; miała trzy lilie w ręku i siedem gwiazd było w jej włosach.“

Włosy te spadają jak „żółta, dojrzała pszenica,“ a na szatach ma tylko jedną białą lilię, zdobytą w zasługach u Maryi.

Jest to obrazek, który delikatnością przypomina płótna Fra-Angelico, z tą różnicą, że jest tu więcej krwi i ciała, niż w anielskich postaciach mnicha-malarza. W następnej strofce „wybrana panna“ zdobywa już rysy czysto ziemskiej namiętności:

„I wciąż spogląda na szerokie morze światów, które faluje w dole, aż jej pierś ogrzała sztabę, o którą była oparta, a lilie leżały, jak uśpione, wzdłuż jej ramion.“ Jednak czystością tchnie głęboki spokój formy, zwłaszcza otoczenie, gdzie scena się odbywa:

„Tak siedziała u krańców domu Boga, zbudowanego na niezmierzonej głębi tam, gdzie przestrzeń się rozpoczyna; tak wysoko, iż spoglądając w dół, zaledwie mogła widzieć słońce. „Przybytek niebios wygląda jak gdyby most, zarzucony przez fale eteru. W dole zmiana dni i nocy, z ich jasnością i cieniami zamyka próżnię. tak nizko, iż ziemia obraca się, jak owad wystraszony.“

W te przestwory nieba czysto średniowiecznego poeta wprowadza swą bohaterkę, która wcale nie jest aniołem bezpłciowym, jak u malarzy pierwotnych; możemy o tem sądzić z następnych jej słów — tak drogich sercu kochanka:

„Chciałabym, aby już przyszedł ku mnie.“ „Czyż nie modliłam się w niebie? Na ziemi, o Panie, czyż on się nie modlił? Dwie modlitwy są siłą niezmierną...“

„Gdy wkoło jego głowy jaśnieć będzie krąg złoty, gdy będzie odziany w biel, ręka w rękę z nim pójdę ku źródłom głębokim światła; pojedziemy tam, jako ku rzece, będziemy się kąpać w świetle Bożem...

A teraz proszę posłuchać, o co ona prosić będzie:

„Będę błagała Chrystusa Pana dla niego i dla siebie tylko o to, abyśmy żyli, jak na ziemi, z miłością byli zupełnie, jak tam, i nazawsze razem, ja i on.“

„Spoglądała, słuchała, i rzekła głosem, mniej smutnym, niż słodkim: „Wszystko to będzie, gdy on przyjdzie.“

Zatrzymała się. Światło zadrżało, pełne aniołów o polocie silnym i równym. Jej oczy błagały. Uśmiechała się.

„Widziałem jej uśmiech, lecz wkrótce polot aniołów stał się mglistym, w sferach oddalonych. Oparła się na złotych baryerach, pochyliła głowę na ręce i zapłakała. Słyszałem jej płacz.“

Balady Rossettiego należą całkiem do romantyki, nie mają wszakże nic z jej krasomówstwa, ani teatralności. Jest to odroczenie cudów, „Renascence of Wonder.“ Wszechświat jest szeregiem symbolów. Po za naturą widomą poeta odkrywa roje potęg nadzmysłowych, duchy mgły i światła, toczące z sobą walkę bezustanną; jej teatrem jest dusza ludzka. Aby dotrzeć do nich, trzeba uciec drogą snów i marzeń od rzeczywistości. Wtedy dopiero zdobywamy wizye tajemniczej istoty rzeczy.

Jest to pojmowanie bytu, które Rossetti dzieli z „pierwotnymi“, z artystami włoskimi przed Odrodzeniem. Jesteśmy aktorami chwilowymi misteryi tajemniczej, która się odegrywa na scenie świata. Przeniknijmy poza dekoracye, które nas otaczają, aby poznać prawdę rzeczywistą. Artysta współczesny nie może wszakże zadowalać się ekstazą religijną i jej tworami w sferze wyobraźni, pomieszczając obok świata realnego świat raju i piekła, które „pierwotni“ starali się zbadać i przedstawić — on we własnym duchu, w dziedzinie suggestyi, przeczuć i niewyraźnych stanów duchowych, szukać będzie drogi ku nadzmysłowości tajemniczej. Staje na jej progu i zasłony z niej nie zrywa. Chwyta tylko szmery i blaski fantastyczne, które stamtąd do nas przenikają. Przykładem kultury psychologicznej, której echa się rozlewają w świecie nadzmysłowym, pełny symbolów jest „Sister Helen.“ Helena robi posążek z wosku, wyobrażający kochanka, który ją zdradził; tradycyą praktyk średniowiecznych rzuca nań zaklęcie i roztapia go w ogniu.

Praktykom tym towarzyszy obok zemsty i strachu, boleść, a młody braciszek, spoglądający na robotę siostry, zadaje naiwne pytania. Po odpowiedziach Heleny następuje refrain prawie niezrozumiały, powtarzany przez autora z małemi zmianami, który jest jakby echem przytłumionem głosów, pochodzących nie z tego świata.

„Zamknij oczy, siostro Heleno, one są chore; ja pójdę bawić się za drzwi galeryi. Tak, zostaw mnie w spokoju. Położę się na ziemi, mały braciszku.

— O matko, matko Maryo, co za spokój tej nocy, pomiędzy niebem a piekłem?“

Czary poskutkowały. Zdrajca leży na łożu śmierci. Rozlega się tętent kopyt w pobliżu zamku Heleny. To jego ojciec i dwaj przyjaciele przyszli błagać, aby zdjęła zaklęcie. Helena pozostaje nieubłagana. Rozmowa odbywa się za pośrednictwem braciszka, który także prosi za Keitha d'Ewern, winowajcę:

„Ależ on nie przestaje powtarzać twego imienia, siostro Heleno, i powiada, iż tleje w ogniu. — Dla jego przyjemności, moje serce także przetlało, mały braciszku.

— O matko, matko Maryo, serce przetlało, pomiędzy niebem a piekłem.“

„Przysyła pierścień i sztukę złota złamaną, siostro Heleno, i prosi abyś przypomniała sobie brzegi Boyne'u. — Co złamał, czyż może połączyć, mały braciszku?

— O matko, matko Maryo, nigdy, oh nigdy więcej, pomiędzy niebem a piekłem.“

„Przysyła ci je i prosi pokornie, siostro Heleno, abyś mu przebaczyła w jego śmiertelnem cierpieniu. — Co wziął innego, czy może także oddać, mały braciszku?

— O matko, matko Maryo, nigdy, oh nigdy więcej, pomiędzy niebem a piekłem.“

„Jego stary ojciec na kolanach cię błaga, siostro Heleno, abyś poszła z nim na miłość Boga. — Droga jest długa aż do mieszkania jego życia, mały braciszku!

— O matko, matko Maryo, droga jest długa, pomiędzy niebem a piekłem.“

„Oh! wiatr jest smutny w tym chłodzie mroźnym, siostro Heleno, oni wydają się smutni i znużeni, tam na drodze. — Ale on i ja jesteśmy smutniejsi jeszcze, mały braciszku.

— O matko, matko Maryo, najsmutniejsza ze wszystkich, pomiędzy niebem a piekłem.

Słychać dzwonienie za zmarłych; posłowie odjeżdżają.

— Ah! co to za cień biały przesunął się przez drzwi, siostro Heleno? Ah! co to tam wzdycha, śród ciemnej nocy? — Dusza stracona, jak moja jest stracona, mały braciszku.

— O matko, matko Maryo, stracone, stracone, wszystko stracone, pomiędzy niebem a piekłem!“

Jest tu mistrzowskie stopniowanie w wyrazie tej nienawiści, której nic rozbroić nie zdoła. Wzrastający wciąż strach przenika cały utwór, ale wraz z nienawiścią ostatecznie roztapia się on w rozpaczy. Z drugiej strony cała balada otoczona jest głębokiem tchnieniem mistycyzmu i nadzmysłowości; Buston Forman *) uważa ją za najdoskonalszą z balad Rossettiego. A oto inna, zatytułowana „Rose-Mary.“

Bohaterka jest narzeczoną sira Jamesa de Heronhaye. który udaje się w pielgrzymkę do Palestyny. Matka jej, będąca w stosunkach z siłami nadzmysłowemi, dowiaduje się, iż wrogowie napadną nań w drodze. Szczęściem ma ona środek, pozwalający mu uniknąć tego spotkania. Jest nim pas czarodziejski, wyszyty berylami, w których można wyczytać przyszłość. Ale możliwe to tylko dla osób niewinnych. Pod nieczystem wejrzeniem dobre duchy uciekają z kamieni, złe zajmują ich miejsce i oszukują pytających. Matka przypuszcza, iż Rose-Mary jest zupełnie czystą.

Niestety, ona ma już na sumieniu ukryty grzech miłosny, to też odpowiedź beryla jest złudną, sir James znajduje śmierć właśnie na drodze, którą ona wskazała.

*) Ballads and Sonnets, with a Memoir of Dante Galviel Rossetti, by Francis Hueffer, ed. Tauchnitz.

*) Our living poets (An assag in criticism).

Złe duchy, ukryte w drogocennych kamieniach, śpiewają radosny hymn zwycięstwa.

Przynoszą trup rycerza: stroskana matka dowiaduje się zarazem o grzechu swej córki.

„O, moje dziecię, czemu było ukrywać przed moją wielką miłością tajemnicę twego serca? Czyliż cię nie uprzedziłam, iż grzech najmniejszy wypędzi ze sfery magicznej duchy dobre, a pozostawi na ich miejscu rasę złą, przeklętą? Ich serce jest zrujnowanem schroniskiem kłamstwa.“

Młoda dziewczyna pozostała zimna, jak kamień. Nie rzekła ani słowa, tylko spoglądała nieruchomie przed siebie. Nie odpowiadała na objęcia i pocałunki matki, nie śmiejąc jej spojrzeć w oczy.

„Głęboką jest fala i potężny cios, gdy morze spotyka się z morzem w szczelinie skały. Ale ruch mącący morze jest spokojny w porównaniu z potokiem boleści powstrzymanej i nareszcie wyzwolonej w sercu złamanem Rose-Mary.“

Upadła bez zmysłów, matka biegnie po ratunek do księdza, który czuwa u ciała rycerza zabitego.

Ona klęka przed umarłym, aby błagać o przebaczenie, i spostrzega na jego piersi list miłosny innej. Kochanek znalazł śmierć w drodze na schadzkę.

Tymczasem Rose-Mary, przyszedłszy do siebie, udaje się do komnaty tajemnej, gdzie jest ukryty beryl, chwyta za miecz swego ojca, rozbija sferę, skąd się wymykają złe duchy — i pada bez zmysłów. Przychodzą dobre duchy, ogłaszające, iż wina jej jest okupiona, i zanoszą do altany róż, gdzie duszę, zmrożoną chłodem życia, ogrzewa i oświeca ogień gwiazdy miłości.

Rossetti napisał dwie ballady historyczne: „Blanche Nef“ i „Tragedyę króla.“ W pierwszej opowiada śmierć syna Henryka I, który zginął podczas burzy wraz z licznym dworem, udając się z Normandyi do Anglii. Młody książę dumny i rozpustny, wykazał dobroć tylko raz w życiu, w dniu swej śmierci. Umarł, chcąc uratować siostrę. Stary nigdy potem już się nie uśmiechał. „Tragedya króla“ jest historyą Jakóba I, który został zabity w 1437 r. przez spisek szlachecki. Opowiada ją Katarzyna Douglas, jedna z dam królowej, która przegrodziła drogę zabójcy, aby pozwolić królowi się ukryć. Tę śmierć przepowiadała mu stara znachorka, którą spotkał niegdyś na brzegu morskim i odnalazł ponownie w chwili zgonu. Widziała ona we śnie, jak całun otaczał stopniowo nogi króla, tułów, piersi, szyję i nareszcie zwarł się nad głową. Ballada rycerska przesycona jest nastrojem tajemniczym i bohaterskim.

L. W.

LITERATURA FRANCUSKA.

Emil Zola: *Lourdes*. Paryż 1894.

Podobnie, jak poprzednie powieści Zoli, „Lourdes“ zaczyna się od spisu osób i na wzór wszystkich dawnych, kończy się napuszystymi frazesami pseudo-pesymizmu.

Panna Marya Guersaint, córka architekta, spadłszy pewnego razu z konia, złamała sobie nogę, poczem uległa paraliżowi jednej strony i dziesięć lat leżała w łóżku opuszczona przez lekarzy. Jedenastego roku pojechała do Lourdes, gdzie na drugi dzień pobytu nie tylko że zdrowa zerwała się z wózka, ale zarazem dostała reguł, dotąd wstrzymanych (str. 406). Podwójnie uzdrowiona wraca do Paryża.

Jeździł z nią młody ksiądz Piotr, jak twierdzi autor, tylko w charakterze towarzysza podróży, bo znał Maryę od dzieciństwa i kochał, naturalnie nie mogąc jej poślubić (motyw nieszczęśliwej miłości, prany i brudzony przez samego Zolę niezliczone razy). Potem miał na celu zebranie „dokumentów“ do historyi Bernadety Soubirous, dziewczyny jasnowidzącej, której przypisać należy przemianę wioski Lourdes na słynną miejscowość odpustową; „dowodów“ tych, rozumie się, pożyczył autorowi wypisanej książki. Dalej widzimy, iż pobudką w tej wycieczce była chęć odzyskania wiary. Podsuwanie coraz innych celów w zapomnieniu o poprzednich jest jednym z objawów tandety pośpiesznej. Piotr nie odzyskał wiary, co było zresztą potrzebnem, gdyż w przeciwnym razie kto marszczyłby czoło na końcu powieści i sypał plewę komunałów?

Nic nadto? — Owszem. — Baedeker, który co krok nas prześladuje. Rozpatrzmy szemat dzieła Składa się z pięciu dni. Pierwszy: podróż i stacye. Paryż, Poitou z głównem miastem Poitiers, Angoulême, Bordeaux, Lourdes. Drugi: tak zwany „biały pociąg,“ stworzony wyłącznie dla pątników, staje na miejscu przeznaczenia. Jeszcze przed jego przybyciem rozmowa doktora miejscowego i ojca Fourcade, kierownika „pielgrzymki narodowej“, uczy nas, iż dotąd nie było w Lourdes wypadków kolejowych. Potem przychodzi ojciec Dargelès, redaktor *Dziennika groty*. Następnie wysypuje się tłum kalek i dewotek, grozi przybyciem pociąg pośpieszny. Szanowni podróżnicy niech będą spokojni w podobnych razach; Lourdes bowiem posiada ambulansy, nosze i posługaczy, a kieruje całym zastępem pan Berthaud. (Niestety, adres nie podany). Chorzy znajdują umieszczenie w szpitalu, więc od drugiego rozdziału zaczyna się opis szpitala, z przestrzeganiem szczególnej dokładności kwestyi ustępów i nocników. I tak (s. 143): Jedna z pełniących dobrowolnie służbę, pani Jonquières, ledwie okiem spojrzała na przyprowadzonego jej do pomocy studenta medycyny, „bo sprzeczała się z młodym księdzem administratorem, iż tylko siedem nocników jest na całą salę“. Dalej mamy: pochód do groty, uleczenie kilku chorych, biuro sprawdzeń lekarskich.

Dzień trzeci: magazyn świec, jadalnia posługaczów, „warstaty,“ gdzie opakowują przedmioty zakupione i zamykają butelki wody z Lourdes, mieszkanie ojców groty, kwiaciarki z bukietami dla Najświętszej Panny, stara część miasta, grota, wotywy i listy do Matki Boskiej, schronisko pielgrzymów, kościół Różańca, przytułek miejski. Słowem, wszystko niemal, co jest do widzenia.

Czwarty dzień — znowu pochód, wyleczenia, opis krypty i bazyliki. Domek Bernadety opuszczony i zaniedbany. Piąty: sklepy z drobiazgami odpustowymi, przegląd zakonnic, wyjazd. Wreszcie dokończenie wleczonych przez wszystkie dni dziejów Bernadety.

Opisane to niedbale, powierzchownie, jak mógłby zrobić przeciętny sklepikarz.

Nic nie przykuwa; czytamy ciekawi treści, ale wartość artystyczna równa zeru. Nigdzie poezyi, a wszędzie sadzenie się na nią: „Dzień kończył się, góry okoliczne były w całym majestacie. Pan Guersaint zaczął wydawać okrzyki zachwytu“ (s. 137). Te trzy zdania stanowią opis zachodu słońca! Sądzę, że istotny poeta mając podobny obraz, nie zdołałby usiedzieć. Prawdziwy malarz chwyciłby za pędzel i rzucał na płótno barwy przy barwach, połyski przy połyskach, linie przy liniach.

O dwadzieścia stron dalej znajdujemy opis krajobrazu rannego, ale jako... mapy miasteczka. Początkowo jest troszkę przyrody i malowniczości, chociaż z wykonania aż nadto widoczne, że obraz był kreślony nie na miejscu, lecz w pracowni. Stare miasto „zarysowywa się ciemno“ (bo stare), młode ma białe domki (bo młode), rzeki fale zielone i niebieskie (zarazem?), a skały są różowe, bo słońce wschodzi. Tak opisane są krajobrazy we wszystkich powieściach dla dzieci i panien dorastających. Sztuka wymaga dokładniejszych spostrzeżeń.

Już tu w pierwszym ustępie dowiadujemy się, że most na Gavie zbudowany został przez księży, a na następnych dwóch stronicach koń Baedekerowski hasa co siły: dzieje i wyliczenie budynków i kościołów. Dom sierocy, założony przez siostry z Nevers, klasztor Karmelitów naprzeciw groty, Dominikanów u brzegu, Wniebowstąpieńców na drodze do Poucyferré, sióstr Niepokalanego Poczęcia przy końcu doliny, na zachodzie Kalwarya itd. Chcielibyśmy bardzo te budynki odróżnić z jakichś cech zewnętrznych, zajęłyby nas więcej. Lecz w takim razie nie mógłby Zola zużytkować planu miasteczka, a wszak to „dokument ludzki.“

Psychologia robi, jak zawsze, wrażenie amuletów murzyńskich. I one są wytworami sztuki, ale — niezgrabnej. Do misternego posążka duszy Zola rzuca się z ciężką bardą. Więc nie stwarza ani Dyan, ani Apollinów, co najwyżej pierwotnie ociosanych Priapów, których rzymianie mieścili na miedzach.

Marya Guersaint ma być Małgosią. Zestawienie podobne dwóch typów nie może nawet drażnić, najwyżej rozśmiesza. W całej powieści uwydatnioną została, hyba jedna cecha: cierpliwość. Pobożność Maryi nie tylko nie zajmuje, ale odrazę wzbudza. Bo czyż to pobożność owe ciągłe obawy, że się nie jest „w stanie łaski,“ aby zostać uzdrowioną? (s. 169 i 170). „Słuchajcie, Piotrze, nie przychodźcie po mnie prędzej, aż za godzinę. Wtedy dopiero udam się do groty. Nie jestem dostatecznie w stanie łaski, chcę modlić się, modlić jeszcze.“ Albo: „Mój przyjacielu, wyświadcz mi usługę, posłuchaj wyznania mego błędu i rozgrzesz mię. Bluźniłam, jestem w stanie grzechu śmiertelnego“ (229). Nie przytaczam innych przykładów, sądząc że i te wystarczą.

Prawdziwa pobożność chyba nie ujawnia się w dogmatycznych roztrząsaniach. Przytem co za biegłość róży paryskiej w kwestyi stanów!

Zresztą charakter panny Guersaint w niczem nie uwydatniony. Niezgrabność pisarza ujawnia się w innem miejscu. Gdy pierwszego dnia nie odzyskała zdrowia, wraca „z twarzą czarną i zbuntowaną“, oburza się na opiekunkę Lourdes, nazywa ją niedobrą. Kto przedtem rozprawiał tyle o łasce, przez lata myślał o pomocy cudu, wie, że jedną z pierwszych zasad pobożności jest nie spodziewać się wysłuchania natychmiastowego, lecz oczekiwać wyzdrowienia jutro lub pojutrze, bo odpust trwa trzy dni. Pojęcia, przekonania, nadzieje wsiąkają w nas, a zbudzona reakcya, nie odrazu święci tryumf. O zwroty nagłe nie tak łatwo. Jeśliby nawet bunt Maryi był możliwy — to i w takim razie może wyniknąć tylko w kilka, kilkanaście godzin, nie w kwadrans lub pół godziny po opuszczeniu groty cudownej.

Jeszcze humorystyczniejszym jest rozbiór duszy Piotra: Stany psychiczne oddzielają się w nim, jak czarne i białe klawisze fortepianu. Piotr szuka wiary, nawet w połowie książki „strasznie walczy“ (młody ksiądz nie robi wrażenia Laokoona) i ciemną nocą (stereotypowa ciemna noc, por. Stefana w *Germinalu*) wychodzi wstrząsany zagadkami. Tak uparty, nakarmiony filozofią przyrodniczą, po przeczytaniu — dwóch stronic dziejów Bernadety, naraz wierzy! Nieuleczenie jednego z chorych odbiera wiarę, znowu czyta o Bernadecie — i powtórnie wierzy, jeszcze jedno nieuleczenie — i znowu niewiara! Taka ciągła zmiana przez całą książkę! Zupełnie jest już niezrozumiałym następujący szczegół: gdy zarządca groty pokazał Piotrowi listy pieniężne lub opatrzone markami do Matki Boskiej o wyleczenie,

ów oddźwięk fetyszyzmu wywołał w nim wiarę.

Psychologia mas nie szekspirowska. To, co autor „największej epopei wieku“ (*sit venia verbo*) poczytuje zapewne za dokumenty życia tłumów, jest banalnem zestawieniem kilkunastu faktów kroniki dziennikarskiej. Pewna pani jedzie do Lourdes, aby widzieć się z kochankiem, i trzy dni spędzić w jego szafie, pewien pan, aby znaleźć mecenasa dla swej konstrukcyi balonów, pewien chory umiera w wagonie!

Zresztą wszelkie studya umysłów przystosowane są do zamiarów autora napisania „Przewodnika po Lourdes.“ Oto przykład: Piotr z Maryą znajdują się trzeciego dnia przy grocie. Chora już wchodzi w stan ekstazy, czuje wkoło woń róż, nigdzie w sąsiedztwie nie zasadzonych. Szczęśliwa spodziewa się, że ujrzy *Ją*. Więc prosi Piotra, aby zostawił samą.

Piotr znajduje się obecnie w okresie niewierzenia. Więc w rozpaczy wchodzi „machinalnie“ (s. 314) do przytułku pielgrzymów. Tu ogląda budynek (opisany na 2—3 stronicach), ale to jego wcale nie uspokaja. Zatem również machinalnie chodzi do kościoła Różańca. Wędruje po nim przez cztery stronice, następnie zwiedza jeszcze pobliże groty i wtedy dopiero wraca.

Nie wyczerpujemy wszystkiego, co można o Lourdes zaznaczyć. I tak: według *interwiewów*, które poprzedziły poczęcie powieści, miały być w niej przedstawione nowe prądy społeczeństwa francuskiego. Zdaje się, że pielgrzymka do nowych nie należy. Albo pośpiech, dzięki któremu Marya Guersaint chora jest raz od siedmiu, drugi raz od dziesięciu lat. Pocieszne w końcu są pretensye Zoli do wawrzynów epicznych. Autor zapożycza nawet od Homera i Wirgilego powtarzanie opisów. Np. panna Zofia Conteau została uleczona na nogę; więc (s. 71): jadąc do Lourdes „wyciągnęła — dla zaspokojenia ciekawości pielgrzymów — zgrabną nogę swą, bardzo czystą, bardzo białą, starannie umytą, z różowymi paznogciami dobrze obciętymi, z długą blizną pod kostką, której szram biały, bardzo wyraźny, świadczył o ciężkości przebytej choroby.“ Na stronic 192 w miejscu odpustowem powtarza się to samo, prawie dosłownie. Żywo to nam przypomina opis odziewania się Agamemnona w drugiej księdze *Iliady*, albo zasiadania i wstawania od stołu w gospodarstwie „Pana Tadeusza.“

W. Bugiel.

LITERATURA POLSKA.

Marya Komornicka, *Szkice*.

Autorka zbiorek swych szkiców zaopatrzyła przedmową, zawierającą jej wierzenia i poglądy estetyczne. Rzecz napisana porywczo, butnie, z rozmachem i śmiałością, mogącą zaimponować umysłom pensyonarskim. P. Komornicka ma żal do wszystkich, sędzią jest surowym i nieprzejednanym. Literatura współczesna bardzo jej się nie podoba. Krytyce literackiej zarzuca, że tradycya metody realistycznej jest dla niej kryteryum estetycznem, że uwięzła niewolniczo w tym szablonie. Wszystkie kierunki uznaje za przedawnione i skazane na zagładę. Przyszłość należy do prądu filozoficzno-psychologicznego, który dotychczas nie skrystalizował się w kształty odpowiednie. „Dla tego nowego kierunku ramy powieści dotychczasowej są pod jednym względem za ciasne, bo objawom ducha przeznaczają szczupłą rubrykę epizodów; pod drugim za obszerne, bo po za tymi epizodami pozostają nieproporcyonalnie wielkie łamy, zapełniane opisami zewnętrznego, często nawet martwego świata.“ Sąd autorki o psychologicznej powieści francuskiej jest słusznie i trafnie wypowiedziany, lubo zdania takie były niejednokrotnie wygłaszane przez krytykę francuską. Podług p. Komornickiej, zadaniem nowego kierunku jest: przedstawienie świata w subjektywnem, żywem oświetleniu dusz odrębnych; rozjaśnienie istoty człowieka w sposób odmienny, stworzenie nowej metody badania estetycznego, otrząśnięcie się z zasad szkoły realistycznej. Autorka domaga się „buntu skrzywdzonego indywidualizmu, uprawnienia podmiotowości ludzkiej po przesądnej czci dla pseudo-objektywności, buntu potęgi życia wewnętrznego przeciw pospolitości nieożywionego faktu... Powieścią posługiwać się nie będą geniusze przyszłego okresu. Kształt ich dzieł musi odpowiadać nastrojowi, w którym zostały stworzone — a oni nie pogardzą ani maligną twórczą, ani porywami wyobraźni.“ Forma stanie się ruchomą, fantastyczną, różnorodną i giętką; nie będzie gawędą, ale raczej śmiałym, szerokim szkicem.“ Plany i dążenia więc autorki są aż nadto przejrzyste. „...Nowa ta faza — wyrokuje dalej p. K. — będzie smutna, negatywna i zrozpaczona, będzie wyznawczynią pesymizmu filozoficznego.“ Nadewszystko pragnie autorka nie należeć do hufca zręcznych fabrykantów słowa, karykatur wzniosłości i gawędziarzy, zaspokajających duchowe pożądania gawiedzi pospolitej. Naturalnie w orszaku przyjaznych jej duchów znalazł się także Nietzsche.

Z przytoczonego widać, że autorka umie myśleć i czuć. Prace jej są wypowiedzeniem pewnej wiary, popędów. Z drugiej strony jasnem jest, iż posiada umysł nieokiełznany, rozgorączkowany, gdzie dużo tkwi jeszcze poglądów nieprzetrawionych, nieurobionych samodzielnie. Z bardzo młodem i dzikiem zacietrzewieniem odrzuca ona wszelkie kierunki, nieodpowiadające jej temperamentowi artystycznemu. Pragnie, iżby cała twórczość płynęła jednem tylko łożyskiem, w granicach ściśle nakreślonych dogmatyzmem sekciarskim i histerycznym. Szkice jej rzeczywiście są nacechowane „maligną twórczą, porywami wyobraźni, wybuchami namiętności.“ Jednakże treść, układ i forma pozostawiają bardzo wiele do życzenia. Kształt ich nie jest wcale „ruchomy, fantastyczny, różnorodny i giętki,“ chociaż śmiałości i szerokości pomysłów odmówić im nie można. P. Komornicka nie powinna tracić nadziei i ufności. Przyszłość jest dobrotliwie łaskawa. W każdym razie „Szkice“ ujawniają prawdziwe, niepospolite nawet czasami przebłyski talentu. Drgają werwą, stylem gorączkowym, szczerością głoszonych zapatrywań. Bardzo jednak szkodzi im krzykliwa, nienaturalna, rozbujała frazeologia. Autorka ma nieliczny zasób spostrzeżeń, niewielką znajomość życia. Nie potrafi dobrze uogólniać i wiązać wszystkich stanów psychicznych. Śmiałość atoli i porywczość w zagłębianiu się we wszystkie procesy duchowe posiada niepospolitą. Hasa swobodnie, z brawurą amazonki, w dziedzinach ducha człowieczego. W pismach jej nie znajdujemy żadnych cichych, słodkich, kojących uczuć, niema tam wcale poetycznego garnituru czułych słów, westchnień i spojrzeń. Są one spowiedzią dusz chorych, znękanych, ogarniętych newrozą, przetrawionych życiem. Gorączka nerwów i mózgów występuje w formie dosyć plastycznej, chociaż bezładnej. Bardzo trudno p. Komornickiej utrzymać nałożytą miarę; wciąż wylewa całe potoki jaskrawej frazeologii, sroży się i urąga. Dobrze jednak odczuwa wszelkie ekstazy, różne wiry uczuciowe. Może kiedyś będzie świetnym malarzem i psychologiem natur histerycznych, pognębionych życiem, nadwrażliwych, sponiewieranych. Szkice obecne są to właściwie echa urywkowe, wypływające tonami splątanymi i zgiełkliwymi z wnętrza takich dusz. Niektóre przebłyski i stany są wcale dobrze pochwycone, brak tylko pełni, harmonii ogólnej, szerokich i plastycznych obrazów. Autorka odczuwa pojedyncze dźwięki, ale nie potrafi spoić w całość jednolitą. Ostatecznie „Szkice“ jej przedstawiają kłębek jaskrawy i dziwacznie splątany. P. Komornicka posiada bardzo wiele wrażliwości, wielkie poczucie wewnętrznych motywów dramatycznych, niepospolite zarodki wyobraźni twórczej. Ale nie może opanować przedmiotu, przedstawić opisywanych postaci w całej rozciągłości pierwiastków i barw. Upaja się swojemi myślami i uczuciami. W wielu razach nie widzimy jej tworów, lecz słyszymy donośny i zgrzytliwy głos samej autorki. Czytelnik niewątpliwie wolałby śledzić wysnuwanie różnorodnych stanów duchowych u bohaterów, niż wsłuchiwać się w natarczywie wyśpiewywane melodye poglądów i wierzeń p. K., mało przetrawionych i pogłębionych.

Ze wszystkich szkiców jeden tylko p. t. „Z fantazyj realnych“ jest stosunkowo najlepszym. W nim bardzo wyraźnie przebija się cała metoda i psychologia autorki. Inne są powtórzeniem prawie tych samych rysów, nużą więc i budzą niezadowolenie. P. K. bardzo skwapliwie przejmuje obrazowania natur genialnych, ale nie może jeszcze wznieść się do objęcia całej niepospolitej indywidualności; pojedyncze wszakże, migotliwe fragmenty, potrafi wcale dobrze pochwycić. Wogóle „Szkice“ p. Komornickiej świadczą o niewątpliwych zarodkach talentu. Przytem praca jej jest u nas pierwszym owocem nowego prądu, który w Europie zaczyna się wzmagać. Lira autorki małostrunna, wygrywa tylko bardzo nieliczne melodye. Ma ona wielkie poczucie nędzy moralnej i ruiny duchowej, trapiącej pewną kategoryę ludzi współczesnych. Życzymy więc jej szczerze prawidłowego rozwoju talentu, radzimy również, aby porzuciła wszelkie pozowanie na geniusza.

Stefan Olenycz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

UZDROWOTNIENIE WARSZAWY.

W dziejach gospodarki Warszawy rok bieżący jest doniosły. Oto ma się ku końcowi serya czwarta robót kanalizacyjnych. Dużo o tem przedsięwzięciu u nas mówiono i pisano; specyaliści nawet czynili ciężkie zarzuty, prowadzące do wniosku, że sprawa, która pochłonęła miliony, jest usiłowaniem zmarnowanem, niemającem żadnej wartości. Oczywiście takie dowodzenia, nawet specyalistów, są nazbyt krańcowe, a dla ich obalenia wystarczyłaby garść faktów, wskazujących, jaki pożytek przyniosła już w rzeczywistości owa kanalizacya. Nie naszą jest rzeczą wdawać się w szczegóły techniczne; chcemy tylko przedstawić ogólną charakterystykę tej pracy doniosłej dla naszego miasta. Zogniskowano ją przedewszystkiem w dzielnicach bogatszych i „porządniejszych,“ stopniowo zaś rozwinięto na krańcach, i oto dzisiaj cała górna Warszawa posiada upusty dla usuwania nieczystości. Nadto, dziełem ostatniego dziesięciolecia są wodociągi z całem urządzeniem filtrowem. Jedno z drugiem idzie w parze i obok ważnych wygód dla mieszkańców, wpływa na podniesienie zdrowotności miasta. Kanalizacya stała się instytucyą trwałą, dała zarobek wielkiej rzeszy ludzi i nawet w ostatnich czasach zrodziła

sprawę kasy emerytalnej dla pracowników fachowych.

Już tych parę szczegółów dowodzi, jak wielki pożytek przynosi owo przedsięwzięcie. Pod kierunkiem cudzoziemca p. Lindleya, roboty kanalizacyjne i wodociągowe prowadzone były przez zarząd miasta, któremu trzeba przyznać, że się wziął gorliwie i rzetelnie do dzieła i nie skąpił na nie wydatków, oczywiście według wskazówek i żądań głównego kierownika. Tu i owdzie dają się słyszeć sarkania na zbyt wysokie wynagrodzenie p. Lindleya i jego pomocników, na kosztowne roboty techniczne i plan olbrzymi. Z drugiej strony są inne zarzuty: słaby nadzór nad prywatną kanalizacyą domów, która jest prowadzona częstokroć spekulacyjnie i pobieżnie, z największą oszczędnością, przeważnie pod naciskiem przymusu; mało bowiem jest takich właścicieli domów, którzy rozumieją całą doniosłość owych ulepszeń. Lecz oto zrodziło się ważne pytanie: czy obecnie po ukończeniu czwartej seryi robót należy przystąpić do piątej, czy też jej zaniechać, ze względu na znaczne koszty? Sprawą tą żywo są zainteresowani mieszkańcy dzielnic upośledzonych: Powiśla i Pragi. Dotychczasowe roboty pochłonęły pokaźną sumę *dziesięć milionów* rubli; ale dzieło już wykonane przynosi rocznie 680,000 rubli. Procent to niewielki, lecz trudno dziś już wymagać zysków znacznych. Długu spłacono już około miliona, a za lat trzydzieści wodociągi i kanalizacya staną się pierwszorzędnem źródłem dochodów miasta. Niecierpliwi wszakże nie chcą myśleć o tak odległej przyszłości. „My z dolnego miasta — skarży się pewien obywatel — z zazdrością patrzymy na suche rynsztoki w części górnej, gdy u nas skutkiem braku spadków dostatecznych, zieje woń odrażająca. Śledzimy również kasowanie starych kanałów na ulicach prawidłowo już skanalizowanych, gdy tymczasem u nas wyloty pozostały dotąd i zarażają całą okolicę. I my spodziewaliśmy się, że wkrótce zniesiony będzie stary kanał na ul. Książęcej, który w dzielnicy robotniczej jest plagą niemniej dokuczliwą, niż fosa okopowa. Tłomaczą nam, że to wszystko tak pozostać musi, bo wydatki na kanały są nieprodukcyjne.“ Twierdzenie to nie ma najmniejszej podstawy, bo — jak słusznie utrzymuje ów interesowany obywatel Powiśla — trzeba brać pod uwagę przedewszystkiem koszt utrzymania i wywózki nieczystości z dołów kloacznych. „Każdy z właścicieli robi co może, aby zadość uczynić wszelkim wymaganiom, lecz starania te nie prowadzą do pożądanych rezultatów, tem więcej, że ludność tej dzielnicy biedna i bardzo skupiona. Czystość w tych warunkach możliwa jest tylko przy dobrze obmyślanej kanalizacyi i obfitości wody do zmywania i spławiania wszelkich brudów.“

Za najważniejszą tamę w dalszym biegu robót uznano ogrom pożyczki sześcio lub ośmiomilionowej na prowadzenie piątej seryi robót według planu, przedstawionego przez p. Lindleya. Z dotychczasowego jednak obrotu rzeczy wnosić możemy, że sprawa ta załatwioną będzie pomyślnie, bo resztę może tu popychać do czynu sama siła logiki. Czy podobna bowiem przypuścić, ażeby tak ogromne dzieło, prowadzone wytrwale przez lat dziesięć, mogło się urwać naraz, z krzywdą dla znacznej liczby mieszkańców? Ktoś powie na to: Co pomoże siła logiki wobec przeszkód ekonomicznych? Otóż zdaje się, że owe przeszkody są przesadzone. Jeżeli szerokie przedsięwzięcie mogło w ciągu dziesięciolecia wyrobić sobie dostateczny kredyt moralny i materyalny, trudno pogodzić się z tem, ażeby bez żadnych ważnych przyczyn miał on ustać nadal.

Nie można powiedzieć, aby ta dziedzina gospodarki miejskiej rozwijała się w zupełnie pomyślnych warunkach. Napotyka ona mnóstwo przeszkód, które częstokroć wpływają na opieszałość roboty i zmniejszają jej rezultaty. Któż tu największy opór stawia? Część obywateli miasta, o których dobro chodzi. Znaną jest powszechnie owa kwestya „przymusu kanalizacyjnego,“ który stanowi jedyną skuteczną pogróżkę na niechętnych, odwlekających do nieskończoności kanalizowanie domów. Trzeba wejść w ich położenie. Nie każdy właściciel domu jest zasobnym i niezależnym materyalnie. Częstokroć na kamienicy, wyglądającej okazale, ciężą długi, które nie pozwalają uczynić wydatku znacznego na roboty kanalizacyjne. Ale i na to jest środek: możliwe ulgi kredytowe i spłaty wygodne. Trzeba tylko szczypty chęci i dobrej woli. Znaczny procent właścicieli poprostu uważa kanalizacyę za zbytek lub rzecz całkiem niepotrzebną, a fakty stwierdziły, że największą wytrwałością w uporze odznaczyli się ci, którym nawet parę tysięcy jednorazowego wydatku nie przynosi najmniejszego uszczerbku. W znacznej więc mierze panuje tu przesąd, zachowawczość kamienicznika, zapleśniałego we własnych murach, a częstokroć nawet żyłka ciułactwa — najgroźniejszy czynnik egoistyczny w rozwoju kulturalnym i społecznym. Wogóle ta warstwa posiadaczy nieraz już wykazała swoje wrogie zachowanie się względem wszelkich zarządzeń zdrowotnych. Cieszą się oni z ukrycia śmietnika lub zawartości kloacznej przed oczyma władzy, jak straganiarz ze schowania ryby albo owocu zepsutego. Ale czasem cały towar przekupnia idzie do rynsztoka, a on sam podlega surowej karze. To samo niebezpieczeństwo grozi na każdym kroku kamienicznikowi, lecz go nie zraża. Ludzie ci, złożeni z najrozmaitszych warstw, stojący na różnych szczeblach poziomu umysłowego, stanowią wielką mieszaninę, w której nad pewną dozą dodatnich pierwiastków obywatelskich panują cechy większości: konserwatyzm, zmysł spekulacyjny i ciemnota. Ta ostatnia nawet bierze udział w baśniach tłumu o truciu w szpitalach chorych na cholerę, czego mieliśmy niedawno dowód w sprawach sądowych. To też gdzie nie ma wstępu poczucie obowiązku społecznego, tam musi dobru powszechnemu torować drogi nacisk prawny. Środek ten zastosowano nietylko w kanalizacyi, lecz i we wszelkich innych szczegółach hygieny publicznej.

Między innymi słyszymy zarzuty, iż gospodarka miejska zanadto wysila się w jednym kierunku, podczas gdy inne ważne działy zdrowotności leżą odłogiem. W samym fakcie tkwi słuszność. Warszawie jeszcze daleko do takich urządzeń, które mogłyby zadość uczynić elementarnym wymaganiom zdrowotności publicznej. Berlin wydał wprawdzie około 20 milionów na wodociągi, Peszt zaś niespełna 10 mil. na te same urządzenia i kanalizacyę, ale przytem pierwszy wydaje co rok setki tysięcy na dezinfekcyę mieszkań, 12 tysięcy na szczepienie ospy, około 50 tys. na kąpiele ludowe, pół miliona na czyszczenie ulic; włożył przeszło sześć milionów w targ i bydłobójnię. W budżecie gospodarki Budapesztu oczyszczanie ulic pochłania 400 tysięcy rubli rocznie, przeszło *półtora miliona* bruki i regulacya ulic i tyleż szkoły. Urządzenie targu na bydło kosztowało siedem milionów. Zobaczmy, jak wyglądają te same rubryki w budżecie m. Warszawy (według *Zdrowia*, nr. 106): oczyszczanie ulic i placów 70 tysięcy rubli, targi około 4½ tysięcy, szczepienie ospy, dezinfekcya i pracownia hygieniczna miasta ogółem około sześciu tysięcy. Pod względem organizacyi pomocy lekarskiej miasto nasze również podrzędniejsze miejsce zajmuje, podczas gdy Wiedeń liczy przeszło 60 lekarzy sanitarnych (oprócz sądowych) z płacą 1,200—2,600 złr., każdy zaś z nich posiada pomocnika, pobierającego dziennie po parę złr. Berlin wydaje na leczenie ubogich w mieszkaniach około 100 tysięcy rubli rocznie. Skromna Kopenhaga ma dwa szpitale dla chorób zakaźnych i dwa zakłady dezinfekcyjne miejskie, nadto trzydziestu kilku lekarzy, utrzymywanych przez miasto, udziela ubogim w domach pomocy bezpłatnie. Warszawa nie posiada ani zakładu dezinfekcyjnego, ani szpitala wyłącznego dla chorób zakaźnych, o stałej zaś organizacyi lekarskiej, niosącej pomoc ubogim, nie ma nawet mowy. O ile nas pamięć nie myli, od paru lat ciągle słyszymy i czytamy w pismach zapowiedź kąpieli ludowych; projekt miał „niezawodnie wkrótce przyjść do skutku,“ ale zawsze znalazła się jakaś przeszkoda. Tymczasem za granicą zakłady tego rodzaju stały się niezbędnym warunkiem życia publicznego, są urządzone według wszelkich wymagań techniki i przystępne dla najuboższych warstw ludności.

Jak widzimy, miasto nasze ma jeszcze mnóstwo braków w najważniejszych działach hygieny społecznej. Czy można marzyć o ich usunięciu? Tak! Potrzeba tylko do tego przedewszystkiem kapitałów, potem nieco dobrej woli i energii, wreszcie współdziałania ogółu. Pierwszy warunek, na razie najważniejszy, możeby się dał nawet w krótkim czasie załatwić, gdyby słuszna rada czasopisma *Zdrowie* (nr. 106) znalazła oddźwięk szeroki. „Należy wszechstronnie rozpatrzyć, co jest niezbędnem dla Warszawy — pisze ten organ — aby oprócz kanalizacyi i inne potrzeby sanitarne nie uchodziły uwagi zarządu miasta. Wyraźniej mówiąc, miasto powinno starać się o maksymalną pożyczkę nietylko na dalsze prowadzenie robót kanalizacyjnych i wodociągowych, ale i na załatwienie zaległych wielkiej wagi spraw sanitarnych, jak bydłobójnia centralna, zakład dezinfekcyjny itd.“ Rzeźnia miejska doczekała się u nas także... ankiety dziennikarskiej i ściągnęła uwagę przedsiębiorców zagranicznych. Dotąd wszakże nie widzieliśmy nawet wstępnych kroków w czynie. Tymczasem obecne tego rodzaju zakłady nie odpowiadają zasadniczym warunkom zdrowia i techniki. A przecież rzeźnia centralna to nie bagatela; ma ona większe znaczenie, niż myśli nasz ogół, obojętny zresztą na tę sprawę *).

Drogomir.

HERMAN HELMHOLTZ.

(Wspomnienie pozgonne).

Fizyka w bieżącym roku ponosi drugą, bardzo dotkliwą stratę, po Hertzu bowiem, tym młodym jeszcze a tak znakomitym badaczu, zszedł do grobu mistrz jego, stary Helmholtz. Zmarły w każdym razie nie miał powodu uskarżać się na losy; życie jego płynęło spokojnie i dostatnio, z wyjątkiem może pierwszych lat, kiedy jeszcze wybijał się. Od pół wieku, tj. od r. 1842, kiedy wystąpił z pracą o budowie systemu nerwowego u bezkręgowców, nazwisko jego wciąż było ozdobą wiedzy niemieckiej. Sypały się na niego zaszczyty, zresztą zupełnie zasłużone, bo starzec ten nietylko był wielkim uczonym, i to miary nowoczesnej, nie mającym w sobie zarozumiałości mandaryńskiej, lecz równie dzielnym człowiekiem. Cała jego działalność naukowa była protestem przeciwko temu poglądowi ślimaczemu, cieszącemu się taką popularnością w zaścianku cywilizacyjnym, że „prawdziwego“ uczonego można poznać po specyalizacyi. Helmholtz był medykiem; pierwsze prace poświęcił zagadnieniom fizyologiczno-anatomicznym. Jego poglądy na

*) O tym przedmiocie pomówimy obszerniej, gdy będziemy rozważali sprawę handlu bydłem w kraju.

ustrój nerwowy u zwierząt bezkręgowych, prace nad prędkością udzielania się wrażenia i reakcyi odruchowej, jego wreszcie studya nad anatomią oka i fizyologią słuchu, są znakomitymi przyczynkami do znajomości dziedzin odpowiednich. Niemcy sarkają też przeciwko sławie Pasteura, dowodząc, że zasługi pierwszego w tej mierze odkrycia należą do Helmholtza. Znany jako fizyolog, zmarły przerzuca się do fizyki i rozpoczyna w swojej działalności naukowej jakby nową epokę, niczem nie związaną z poprzedniczką. Bierze się do poszukiwań nad teoryą mechaniczną ciepła, później coraz bardziej brnie przez fizykę matematyczną i puszcza w niepamięć fizyologię i anatomię. Ale przeszłość pozostawia po sobie ślady, bo nadaje umysłowi Helmholtza wszechstronność i wyższy pogląd na rzeczy. Nietylko był on sumiennym badaczem, wyrabiającym cegiełki do gmachu wiedzy, lecz także filozofem, tj. architektem tego budynku. Przytomność umysłu zachował do ostatnich chwil. Wykładał w uniwersytecie berlińskim, piechotą przechodząc, w pogodę i w słotę, przestrzeń od Charlottenburgu do pracowni fizycznej, mieszczącej się w pobliżu dworca centralnego.

LIBERUM VETO.

Po powrocie. — Widok zmiany. — Niebywałe dawniej zajęcie się teatrem. — Woreczek nowin. — Życie nogami. — Cyklomania i jej bohaterzy. — Jeden z nich. Unieważnienie zapisu hr. Suchodolskiego jako zasada społeczna. — Pobłażliwość opinii dla gwałcicieli woli Marysi i nieboszczyka. — Kilka słów przypomnienia.— Towarzystwo dobroczynności. — Pierwsza radość.

Kilkotygodniowa przerwa w pisaniu tej kroniki przekonała mnie dowodnie, jak potok naszego życia biegnie szybko i w wielkiem urozmaiceniu. Wsłuchawszy się i wczytawszy w opowieść ostatnich miesięcy, znajduję w niej takie mnóstwo faktów nowych, nieznanych i nieprzewidywanych, że jestem prawdziwie zdumiony. Zdumienie to mogą zrozumieć tylko ci, którzy, jak ja, przez lato nie zaglądali do zwierciadeł naszego życia, do pism peryodycznych. Pierwszem świeżem i bardzo pocieszającem zjawiskiem jest stałe i szczegółowe zajmowanie się prasy... teatrem. Tego dawniej nie bywało. Niewierzyłem własnym oczom: przedtem można było tydzień czekać na jakąś nowinę teatralną, a teraz w każdym numerze dziennika znaleźć można tak drobiazgowe doniesienia, że pozostaje ci tylko dowiedzieć się, ile aktor X. ma par skarpetek, a aktorka Y pierścionków. *Poniedziałek*: Teatr wielki wystawia dziś sympatyczną „Halkę“; teatr Letni daje wspaniałego „Żyda tułacza“; teatr Nowy powtarza wesołego „Sztygara.“ Wodewil przygotowywa pyszny utwór Kosiakiewicza, Belle-vue myśli o wznowieniu niezapomnianej farsy Szobera. Pan A. wyjeżdża na urlop, p. B. przyjeżdża z urlopu; p. C. uległ lekkiej niedyspozycyi, p. D. wyzdrowiał; p. E. wybiera się na gościnne występy do Krakowa, p. F. powrócił z gościnnych występów. Nasza „jedyna“ uczy się roli, nasza pierwsza „naiwna“ wyuczyła się roli. Panna J. otrzymała wczoraj po przedstawieniu kosz kwiatów. Portret panny K. wystawiono w Towarzystwie sztuk pięknych. Panna L. przebywa na letniem mieszkaniu w Wierzbnie, panna M. wyjeżdża do Płudów. Wczoraj Wodewil był wypełniony po brzegi, wczoraj Belle-vue był wypełniony także po brzegi. Sprzedaż biletów na premierę idzie raźno.

Tyle na poniedziałek.

Na wtorek, środę, czwartek itd. taka ż porcya, albo jeszcze większa, a tydzień następny rozpoczyna się i kończy podobnie.

To jest pierwsza nowość, jaka musiała uderzyć każdego powracającego po wakacyach do Warszawy.

Drugą są „rekordy“ cyklistów. Przed paru tygodniami miałem zaszczyt jechać koleją z jakimś panem w szarem, obcisłem ubraniu, z mnóstwem ozdobnych znaczków na piersiach. Domyśliłem się, że jest to jeden z naszych „mistrzów na Dynasy“ lub „Królestwo polskie.“ Siedziałem raz nieopodal monarchy, króla saskiego, który życzliwem okiem spoglądał na nas, studentów, i wcale nie myślał druzgotać nas swoim wzrokiem. Później zdarzało mi się być w bliskości rozmaitych dostojników i znakomitych ludzi, którzy patrzyli naokoło siebie czasem z dumą, czasem ze skromnością. Nigdy jednakże nie spotkałem u największych tego świata tak wyniosłych spojrzeń, jak u owego szarego „mistrza.“ To nic, że zdawał się nas wcale nie widzieć, że nas potrącał i deptał, jak gdybyśmy nie byli ciałami, przedstawiającemi jakikolwiek opór w sferze jego ruchów, że otwierał i zamykał drzwi z wstrząsającym łoskotem; ale ponieważ trzymał ciągle szpicrutę w ręce, drżeliśmy, ażeby nam nią nie pokazał *quos ego*. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czemu ten pan usiłował wypełnić całą przestrzeń swoją osobą, bo znałem również baletników, którzy jeszcze lepiej poruszali nogami a jednakże nie nadymali się swoją sławą. Ale powróciwszy do Warszawy, pojąłem, że to nie bagatela być „mistrzem na Dynasy“ lub „Królestwo polskie.“ Co tu było przez lato „recordów,“ ilu powstało „nowych mistrzów,“ a z jaką uroczystością wieńczono ich wawrzynami! Prasa w uniesieniu dla tych popisów i ich bohaterów zaledwie czasem przypominała sobie o „Rodzinie Połanieckich“ i „Quo vadis“, powieści jeszcze nie napisanej, a już genialnej, zresztą nikogo i niczego nie widziała oprócz cyklistów. Nawet dzielni wioślarze zatonęli w jej niepamięci, pomimo że lato jest przecie główną porą ich tryumfów. „Pan nie jeździsz na rowerze?“ Jest to pytanie, które dziś zadaje się każdemu z takiem zdziwieniem, jak: „Pan się nie myjesz?“ I kto wie, czy poprostu dla uniknięcia wstydu nie będę musiał kupić sobie „maszyny.“ O tem, ażebym kiedykolwiek otrzymał nawet tytuł „mistrza na Dynasy,“ nie marzę, ale zostanę porządnym człowiekiem, który używa najszlachetniejszego sportu i ma nadzieję, że jeśli spadnie ze „stalowego rumaka“ i nabije sobie guza, naród będzie o tym wypadku natychmiast zawiadomiony przez *Kuryery*. Jakakolwiek chwała — bodaj z siniaka — zawsze jest słodka, tem słodsza w tym razie, że wyraża rzeczywiste nasze uzdolnienia i talenty. Wiadomo, jakich my cudów dokazujemy nogami w karnawale; otóż wynalazca roweru wynalazł go przedewszystkiem dla nas. Gdyby tę maszynę trzeba było poruszać głową, różnie by tam bywało, ale to pewne, nie miałaby ona tylu zwolenników i „mistrzów“, co poruszana nogami. Dziś starzy, młodzi, dzieci, kobiety, kaleki, wszystko posiada lub posiadać pragnie rower, a zauważono, że nawet niemowlęta zaraz po urodzeniu wykonywają takie ruchy nóżkami, jak gdyby obracały koło.

Nie będę wam opisywał wszystkich rekordów, gdyż uczyniły to już godniejsze pióra, a mnie pozostało tylko ogólne zaznaczenie faktu.

Trzeciem niezwyczajnym objawem z pory letniej było doniesienie, że brat hr. Suchodolskiego, któremu nieboszczyk przyznał dożywocie na całym majątku, wystąpił do sądu o unieważnienie testamentu i wydziedziczenie Towarzystwa dobroczynności. Wszak i to u nas jeszcze się nie zdarzyło— prawda? Niech moi ziomkowie darują te wyrazy, ale nie znam drugiego społeczeństwa, które by tak lekceważyło ostatnią wolę nieboszczyków i wprost nienawidziło zapisów na użytek publiczny. Poczciwi ludziska szczerze oburzają się, że ktoś śmiał zapomnieć o rodzinie (często składającej się z utracyuszów i próżniaków) i przekazać swój majątek jakiejś instytucyi dobroczynnej. Jeszcze jeśli legat dosięga kilkuset lub kilku tysięcy rubli, możemy zdobyć się na przebaczenie winy „skąpcowi“; ale jeżeli dosięga dziesiątków lub setek tysięcy rubli, ogarnia nas złość. W ostatnich dwudziestu latach nie było ani jednego wypadku, w którym by „prawni spadkobiercy“ nie usiłowali obalić testamentu, zawierającego hojne zapisy filantropijne. Gdy więc ogłoszono, że hr. Suchodolski przeznaczył Gościeradów dla Towarzystwa Dobroczynności, byłem pewny, że ktoś będzie próbował złamać jego wolę, a gdy tygodnie upływały bez żadnej o tem wieści, zdawało mi się, że nasz światek przewraca się do góry nogami. Jakto, jest w tym światku rodzina, która nie chce unieważnić testamentu, ofiarującego duży majątek biedakom? Nie, to niepodobna. Nareszcie pisma doniosły, że brat zmarłego wniósł odpowiednie zabezpieczenie swych praw do hipoteki. Tak to rozumiem! Że nam nie chodzi czasem o korzyść materyalną, ale o zasadę społeczną, o niedopuszczenie, ażeby ludzie bogaci rozdawali swe mienie ubogim, najwymowniej przekonywa fakt obecny. Brat zmarłego ma zapewnione dożywocie na całym majątku, może więc używać go na osobiste potrzeby do śmierci, pomimo to wystąpił przeciwko ostatniej woli nieboszczyka.

Nikt mniej ode mnie nie łudzi się skutecznością najsłuszniejszego i najuroczyściej wypowiedzianego morału, gdyż coraz więcej życie dostarcza mi dowodów, że nikt nikogo nie przekonywa. Jeżeli Shakespeare, grając sam swoje utwory ochrzczone jego nazwiskiem i usunąwszy za życia wszelkie wątpliwości, że jest ich autorem, nie zapobiegł temu, ażeby je w paręset lat po jego śmierci przypisano Baconowi, to czy można wymagać, ażeby ktokolwiek zdołał dowieść, że gwałcenie woli testatorów jest występkiem, zwłaszcza gdy samo społeczeństwo, najbardziej interesowane w poszanowaniu jej, zachowuje się co najmniej tolerancyjnie? Człowiek, który się o to pokusił, staje się tak niewinny, jak ten, który wywołał wolę Marysi lub panny Salomei. Czasem nazywa się mądrym, a czasem — filutem. Nic więcej. Nie mam więc żadnej pretensyi do namówienia opinii publicznej, ażeby srogo obchodziła się z takimi mędrcami i filutami, przypomnę tylko Towarzystwu dobroczynności obowiązek energicznego bronienia swych praw i swej własności. Jak to już dawniej zaznaczyłem, nasze instytucye dobroczynne zbyt obojętnie a nawet łaskawie zachowują się wobec zakwestyonowanych zapisów na ich korzyść. Można coś dostać bez sporu i procesu — to biorą i dziękują, ale gdy „prawni spadkobiercy“ wyciągną ręce, one grzecznie kłaniają się i ustępują. Jest to wielkie nadużycie zaufania testatorów. Bo jeżeli oni powierzają jakiejś instytucyi swój majątek do zużytkowania go na cele społeczne, to przecie chyba w tem przekonaniu, że ona będzie dobrą stróżką tej ofiary i nie pozwoli jej sobie wydrzeć. Inaczej nie zwracaliby się do jej niedołęstwa.

Oto są najnowsze objawy naszego życia, które stanęły przede mną na pierwszym planie, gdy po dwumiesięcznej przerwie zajrzałem do protokołów dziennikarskich. Jeżeli, czytelniku, uważasz, że to wcale nie są objawy świeże i że oddawna niewiele więcej po za nimi dostrzedz można, to nie pozostaje nam nic innego, jak ucieszyć się, że istnieją pewne stałe rysy, które naszemu a przynajmniej warszawskiemu społeczeństwu nadają pewien wysoce charakterystyczny wyraz. Warszawianin

tedy jest to taki gatunek ludzki, który ciągle myśli o teatrze, żyje nogami i przyklaskuje widowiskom obalania testamentów dobroczynnych. Śliczny okaz!

Na biurku mojem leży stos listów, których autorowie domagają się poparcia dla spraw i przedmiotów mniej ważnych, niż teatr, bicykl i „prawni spadkobiercy,“ ale jednak zasługujących na wyróżnienie. Zajmę się nimi następnie. Dziś chciałem tylko uczcić rzeczy pierwszorzędne i co prędzej otworzyć ujście radości, dowiedziawszy się, jak grają aktorzy w Monachium i jak prędko jeżdżą cykliści po szosie krakowskiej.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Radom. Epidemia w Ostrowcu, jak donoszą do *Gaz. radomskiej*, przybiera coraz groźniejsze rozmiary pomiędzy ludnością żydowską. Popłoch śród niej i zabobony przechodzą wszelkie pojęcie, naruszają porządek i spokój publiczny. Żydzi staczają formalne bójki przy zabieraniu chorych do szpitala, zapominając, że wszystkich niepodobna leczyć w domu. Zamożni, mający obszerne i czyste mieszkanie, pozostają u siebie, biednych zaś, którym za całe pomieszczenie służy jedna, brudna izba dla sześciu, siedmiu osób razem, trzeba koniecznie usuwać do szpitala, ażeby zapobiedz szerzeniu się zarazy. Ciemny proletaryat żydowski wykonywa różne praktyki. Chcąc odwrócić zarazę na chrześcian, zbierają różne książki, rupiecie, kupną świece i gromadnie idą na swój cmentarz, z nabożeństwem chowając te szpargały w ziemię; nadto wynajmują swoich współwyznawców z katarynkami, każą im chodzić dokoła cmentarza i grać. Po takim koncercie tłuką im instrumenty na kawałki, a wybiwszy „artystów“ niemiłosiernie, wypędzają za miasto.“ Pomiędzy chrześcianami spokojnie — zaledwie zdarzyło się kilka wypadków choroby, co przypisać można większemu porządkowi i stosunkowo staranniejszej czystości. — Skutkiem świeżo wydanego okólnika departamentu kolejowego, droga Dąbrowska, przedstawiając swoje poglądy, oświadczyła, że z powodu bardzo wielu rozpowszechnionych chorób, uznanych za niebezpieczne, należy znaczny procent agentów ruchu, wydziału mechanicznego i służby telegrafu przenieść na inne stanowisko; nowowstępujący zaś podlegać winni egzaminowi lekarskiemu i tylko posiadający wszelkie warunki zdrowia będą przyjmowani na służbę.

Lublin. Doroczny jarmark w Łęcznie, jak zwykle (od lat kilku), nie odznaczał się wielkiem ożywieniem. Zamknięto go na trzeci dzień, pomimo że urzędownie może trwać dni dziesięć. Ładnych okazów koni dostarczono dużo. Fornalskich było mało i płacono je dosyć drogo, po rs. 70—135. Tabunowych nie dostarczono wcale. Na owce ruch handlowy był słaby; rozkupiono niewiele reproduktorów. Przy sposobności na zaznaczenie zasługują uwagi korespondenta *Kur. warsz.*, który wyjaśnia właściwy stan rzeczy: „Jarmarki w Łęcznie od kilku lat już nie trwają dłużej nad dni trzy do czterech, dlaczego więc miejscowi mieszkańcy nie postarają się o zmianę urzędowych terminów odpowiednio do stanu rzeczy, co spowodowałoby zniesienie opłaty patentowej, pobieranej, jak wiadomo, na jarmarkach, trwających w istocie rzeczy nie mniej nad dni osiem. W interesie mieszkańców Łęczny leży również starać się o ułatwienie i dogodną komunikacyę, wypada więc wspólnym kosztem przy udziale właściciela majątku postarać się o naprawę dróg z Lublina i Minkowic do stacyi kolejowej. Ta ostatnia uwaga tem bardziej powinna zainteresować właścicieli domów w Łęcznie, że kupcy lubelscy, szczególnie zaś hurtownicy, korzystając z utrudnionej komunikacyi do Łęczny, starają się, ażeby jarmarki tamtejsze upadły i przeniesione były do Lublina. Jeżeli więc drogi do Łęczny nie będą poprawione, to pomimo dobrej tradycyi i odpowiedniego zbudowania miasta, jarmarki corocznie będą upadały, aż wreszcie siłą konieczności przeniosą się do Lublina. Hurtownicy już i na teraźniejszym jarmarku robili swoje, ażeby odciągnąć od Łęczny przybywających tam po zakupy detalistów, doszło nawet do awantury z właścicielami domów, którzy i tak nie zrobili interesu, ponieważ brali tylko trzecią część tej ceny za lokale, jaką otrzymywali jeszcze przed dwoma laty.“

SPRAWY EKONOMICZNE.

KREDYT PAŃSTWOWY.

I.

Rok bieżący w kronice reform społeczno-ekonomicznych pozostanie niezatartym na długo; między innemi przyniósł on nową ustawę Banku Państwa, która za parę tygodni wejdzie już w życie. W chwili jej zatwierdzenia podaliśmy szkic zadania owej instytucyi. Obecnie, gdy się już otwierają jej podwoje na usługi milionów ludności, uważamy za obowiązek rozpatrzyć szczegółowo cały program kredytu i rozważyć jego wpływ w przyszłości na rozwój ekonomiczny.

Sięgać aż do początków organizacyi kredytu nie będziemy. Wyrósł on z inicyatywy prywatnej i mniej więcej w każdem państwie przechodził podobne koleje. Najdawniejszą formą we Francyi były banki dyskontowe; o pierwszym z nich, t. zw. generalnym banku Law'a, założonym roku 1716, historya przekazała nieco faktów. Zadaniem jego było dyskontowanie i emitowanie biletów „à vista“ płatnych na okaziciela. Nie poprzestawał on jednak na tych obrotach normalnych, lecz rzucił się w wir szalonej spekulacyi, która doprowadziła go do bankructwa r. 1720. W 47 lat później (r. 1767) rada stanu zezwoliła na założenie nowego banku dyskontowego i obiegowego pod nazwą „kasy dyskontowej,“ który jednak wcale nie działał. R. 1776 powstała instytucya pod tą samą firmą i z takim zakresem. Rozwinęła się ona szybko. Szereg innych wyrasta dopiero od r. 1796, mianowicie: „kasa rachunków bieżących,“ dalej — „dyskonta handlowego,“ oparta na zasadzie wzajemności, która stała się wzorem dla stowarzyszeń kredytowych belgijskich. Na uwagę jeszcze zasługują: „kantor handlowy“ albo „kasa Jabacha,“ tudzież „faktorya.“ Wreszcie r. 1800 założono „Bank francuski“ (z kapitałem 30 milionów frank.), który dzięki potężnym środkom i przywilejom, zapanował w całym kraju. Pierwszych funduszów dostarczył rząd, który powierzył mu wszystkie operacye skarbowe. R. 1803 nadano mu wyłączny przywilej emitowania biletów na okaziciela, płatnych na lat piętnaście. Kapitał urósł wtedy do 45 milionów, moc zaś finansowa tej instytucyi zmusiła wszelkie inne do wycofania swych biletów z obiegu. Przetrwała ona zmiany rządu, ale nie wycofała się z pod jego wpływu. Po r. 1836 Bank założył kantory dyskontowe w kilku miastach ważniejszych.

Rewolucya r. 1848 sprowadziła zasadnicze zmiany w trybie kredytowym Francyi; straszny popłoch spowodował kurs przymusowy biletów Banku francuskiego i instytucyi prowincyonalnych. Po ustaleniu się rządu zaufanie powróciło, wypłaty podjęto na nowo w gotowiznie. W tym samym czasie władza zniosła banki prowincyonalne i zadekretowała zlanie się ich z francuskim; ten więc ostatni całkowicie zmonopolizował kredyt. W r. 1857 ów przywilej zawarowano aż do r. 1897, kapitał zaś podniesiono do 182,500,000 fr. W czasie wojny r. 1870—71 Bank ten silnie popierał państwo; rządowi pożyczył 1,425,000 fr., które zwrócono ratami do r. 1879. Nadto pożyczył Paryżowi w chwili kapitulacyi 210 milionów. Instytucya powyższa posiada różne cechy: jest państwową, gdyż rząd bierze udział w jej administracyi, zaciąga u niej znaczne pożyczki i powierza rozliczne obroty skarbowe. Jest także bankiem dyskontowym tudzież obiegowym, ze względu na swój przywilej jedyny we Francyi. Nie posiada on kantorów za granicą, więc przyjmuje do dyskonta tylko weksle płatne we Francyi. W końcu jest bankiem pożyczkowym na zastaw papierów publicznych. Wypełnia przy tem wiele jeszcze czynności handlowych: utrzymuje kasę depozytową dla papierów publicznych tudzież złota i srebra w sztukach lub monetach. Dla klientów rachunku bieżącego bezpłatnie załatwia inkasowanie weksli i płaci ich zobowiązania do wysokości przyznanego kredytu; wystawia przekazy z Paryża na swoje oddziały i odwrotnie.

Obok tej pierwszorzędnej i uprzywilejowanej instytucyi, rozsiadły się inne ogniska kredytu w zakresie dyskontowym. W r. 1837 Jakób Lafitte stworzył „kasę generalną dla handlu i przemysłu“ z kapitałem zakładowym 15 milionów, której zadaniem było dyskontowanie „weksli handlowych,“ a nadto udzielanie zaliczeń na zastaw papierów publicznych, przyjmowanie depozytów itd. W r. 1834 powstał „generalny kantor handlowy“ (Ganneron et Com.), później kasa centralna dla handlu i dróg żelaznych „Baudon et Com.“ Wszystkie te trzy instytucye utonęły w zaburzeniach r. 1848. Ważniejsze w organizacyi i obrotach były „kantory dyskontowe,“ utworzone przez rząd 7 marca 1848 r. dla podźwignięcia kredytu handlowego, który prawie upadł skutkiem rewolucyi. Następnie założono „narodowy kantor dyskontowy m. Paryża,“ później zaś 66 kantorów w różnych miastach prowincyonalnych. Jednocześnie na mocy dekretu z 24 marca 1848 r. rząd zezwolił na zakładanie takich oddziałów pomocniczych gwarantowanych w miastach, które posiadały kantory główne. Instytucye te działały w zakresie kredytu handlowego, przytem były dostępniejsze, aniżeli Bank francuski, wymagały bowiem tylko dwóch podpisów przy dyskontowaniu weksli, a nawet jednego tylko, jeżeli przy tem załączony był dowód magazynu powszechnego lub depozyt z rachunków bieżących. Zadaniem zaś kantorów pomocniczych było gromadzenie weksli kupieckich dla ułatwienia ich dyskonta w kantorach głównych. Wymagały one od swych dłużników poważnej rękojmi, same zaś składały swój kapitał w kasach kantorów głównych, dla zabezpieczenia własnych zobowiązań. W r. 1853, gdy kredyt publiczny dosięgnął zupełnego wzmocnienia, rząd wydał następujące postanowienie: „Kantory dyskontowe, główne i pomocnicze, mogą być zakładane i prolongowane bez żadnej pomocy i rękojmi ze strony rządu, departamentów i gmin.“ Większa część tych instytucyj stopniowo została zlikwidowana. Kantor paryski przetworzono na towarzystwo bezimienne z kapitałem 20 milionów, który w r. 1867 doszedł już do 80 mil. Tym sposobem po Banku francuskim stała się to pierwszorzędna instytucya finansowo-dyskontowa. Od r. 1860 powstało mnóstwo innych, ułatwiających dyskonta wartości handlowych i rozpowszechnianie obrotów depozytowych, wypłaty za pośrednictwem czeków itd. Wdawanie się jednak w szczegóły zanadto rozciągnęłoby nasz przegląd. Najważniejszą jest ta strona kredytu, która stanowi stosunek jego do pracy. „Instytucye owe — pisze Hiernaux — postawiły sobie za zadanie udzielenie możności korzystania z określonej rękojmi: sprzętu domowego, towaru, majątku ziemskiego, tytułu własności cywilnej lub handlowej,

bez zaprzątania się kwestyą przeznaczenia kapitałów. Czy pożyczka zwrócona będzie w terminie? — oto wyłączna myśl bankiera. Mało go obchodzi, czy ona ma za przedmiot eksploatacyę górniczą, zakłady fabryczne, czy też uprawę ziemi. Jeżeli zasięga wiadomości o zawodzie dłużnika, to jedynie dla dokładniejszego ocenienia stopnia jego wypłatności. Kredyt zatem stworzony został według gwarancyi, przywiązanej do pożyczki, a nie według użytku, na jaki pożyczka jest przeznaczona" *). Ten dział kredytu rozpada się na trzy główne gałęzie: pomoc dla pracy handlowej, przemysłowej i rolnej. O organizacyi, mającej na celu obroty handlowe, juześmy mówili. Dla drugiego działu przychodzi z pomocą kredyt komandytowy, który we Francyi zrodził się 1852 r. pod wpływem Izaaka i Emila Pereire'ów, którzy przy pomocy wielkiego skupienia kapitałów założyli „Francuskie Towarzystwo generalne dla kredytu ruchomego." Głównem zadaniem jego było tymczasowe komandytowanie wielkich przedsiębiorstw przemysłowych lub robót publicznych, w celu późniejszego zamienienia ich na towarzystwa akcyjne i rozpowszechnienia akcyj śród ogółu. Przedstawiony interes oceniało ono przedewszystkiem pod względem powodzenia tudzież dochodu przypuszczalnego, potem udzielało mu zaliczek, potrzebnych do jego rozwoju, wreszcie po ugruntowaniu przedsiębiorstwa emitowało jego akcye, z zachowaniem dla siebie pewnej ich części na pokrycie zaliczek i wynagrodzenie pracowników. Tą drogą Towarzystwo brało udział w utworzeniu lub rozwoju bardzo znacznej liczby przedsiębiorstw wszelkiego rodzaju, nietylko we Francyi, ale i w innych państwach. Instytucya owa rozrosła się potężnie i zaznaczyła swój wpływ szeroko; ale gdy wcisnęła się na giełdy, zaczęła tam tworzyć sztuczne tendencye zwyżkowe i zniżkowe, pomimo milionowych na razie zysków, podkopała swoje podstawy grą spekulacyjną; potem potknąwszy się parę razy, straciła zaufanie i musiała zlikwidować swe interesy. Upadek ten wszakże nie zniechęcił innych. Z wyjątkiem Banku francuskiego, Towarzystwa kredytowego ziemskiego i kilku innych instytucyj, działających wyłącznie w zakresie dyskontowym, wszystkie wogóle ogniska kredytu w Paryżu przyjęły zasadę Tow. generalnego, tj. uczestniczą one w tworzeniu lub rozwoju przedsiębiorstw przemysłowych i robót publicznych. Ale ich stosunek z prowincyą jest bardzo ograniczony, przytem pociągają je tylko przedsięwzięcia wielkie, dające znaczne zyski (budowa dróg żelaznych, eksploatacya kopalń itd.). Oto jak Hiernaux charakteryzuje ich działalność: „Wyłączywszy kilka wielkich przedsiębiorstw Paryża, uczciwie prowadzonych, coraz bardziej staje się widocznem, że banki emisyjne, pożyczkowe dla przemysłu, komandytowe itd., nie zaprzątają się bynajmniej pewnością proponowanych im interesów. Cała ich dążność ogranicza się jedynie do oceny wielkości swego wynagrodzenia i widoków powodzenia subskrypcyi publicznej. Do powierzonego im przedsiębiorstwa przywiązują nadzwyczaj ogromny kapitał, którego większa część dostarczona jest w wartościach iście godnych śmiechu, jeśli nie zupełnie fikcyjnych. Przekupują dzienniki dla przedstawienia ich przedsiębiorstw w dobrem lecz zupełnie kłamliwem świetle, a gdy zapisy są zamknięte, głośno oświadczają, że rozebrano wszystkie papiery wypuszczone, chociaż najczęściej pozostają one w ich rękach; ponieważ nie udało się ich umieścić „al pari" na subskrypcyi publicznej, próbują sposobu wypuszczenia z pewną przewyżką nad wartość nominalną na giełdzie, gdzie uprzejmy syndykat przyjmuje na siebie obowiązek notowania ich na cedule po cenach urojonych. Tymczasem drobny kapitalista, który szuka natchnienia w owej haniebnej prasie finansowej za franka rocznie, dowiaduje się, że kurs papieru wzrósł z 500 do 525 fr. i że niezawodnie dojdzie do 600." Jak widzimy, Francya nie posiada kredytu szerokiego dla pracy przemysłowej. Instytucye istniejące zajmują się tylko olbrzymiemi przedsiębiorstwami, dającemi znaczne i wyjątkowe zyski.

Pozostaje jeszcze kredyt również bardzo ważny: dla pracy rolniczej. Jakkolwiek ten dział gospodarki, wogóle na zachodzie, stoi o wiele wyżej od naszej pod każdym względem, jednakże i tam dają się słyszeć narzekania na ciężkie warunki, z których najważniejsze naszym są pokrewne: brak kapitałów i rąk roboczych. Jeszcze niedawno krążyło dość szeroko we Francyi przekonanie, że złą dla rolnictwa jest przysługą powierzanie mu kapitałów i dla poparcia tych twierdzeń dowodzono, że stopa procentowa zwykle wynosi 4, 5, 6, 7%, wówczas gdy dochód z ziemi nigdy nie przekracza 4%, a spada często do 2 i 1½%. Jeden z ekonomistów odpowiedział na to: „kapitalista nie powinien zaciągać pożyczki dla zakupienia gruntów, którychby sam nie uprawiał. Pracownik rolny bowiem łatwo może osiągnąć od włożonego kapitału 10—12%, stosownie do rodzaju eksploatacyi, stopnia pracowitości i znajomości rzeczy." Kapitały, również jak i u nas, najbardziej stronią od rolnictwa, ale tam inne są przyczyny: wadliwość prawodawstwa. Z tego właśnie względu tamtejsze Towarzystwo kredytowe ziemskie nie przynosi istotnego pożytku dla przemysłu rolnego. Z powodu wszakże ciężkich zarzutów, instytucya owa w r. 1859 założyła „Generalne Towarzystwo dla kredytu rolnego," któremu rząd nie udzielił żadnego przywileju, lecz tylko zagwarantował akcyonaryuszom procent w stosunku 4% do wysokości 400,000 fr. na pięć lat. Oto zadania tego ogniska finansowego: Dostarczanie rolnictwu i związanemu z niem przemysłowi kapitałów lub kredytu za pomocą dyskontowania albo ułatwienia, przez udzielenie rękojmi, dyskonta weksli, płatnych najpóźniej za dni 90. Otwieranie kredytów na dłuższe terminy, nieprzekraczające trzech lat, na zastaw lub inną rękojmię. Dalej między innemi: ułatwienie karczowania lub poprawy gruntów, rozwój i zabezpieczenie produktów rolnych i rozszerzenie gospodarki. Tym sposobem Towarzystwo zastosowało swoje obroty do rozmaitych działów i rodzajów rolnictwa; przez pożyczki trzyletnie dostarczało funduszów na potrzeby wyjątkowe, produkcyjne po dłuższym czasie (pomnożenie narzędzi, rozszerzenie nieruchomości, karczowanie, irygacya itd.). Przez dyskontowanie weksli handlowych ułatwiało ziemianinowi natychmiastowe otrzymanie w gotowiźnie wartości sprzedaży terminowych, udogodniło zakupy na kredyt. Wzięło się ono przedewszystkiem do rozwoju kredytu drogą dyskonta. Utworzyło oddziały kaucyonowane, postanowiło pozakładać filie, nietylko w miastach okręgowych, lecz także w miasteczkach kantonalnych, a nawet wioskach ważniejszych, gdzie się odbywają jarmarki lub targi. Słowem, pomimo niektórych braków, Towarzystwo generalne miało pożyteczny zakres działalności, ale nie mogło go rozwinąć należycie, skutkiem więzów prawodawczych; musiało więc ograniczyć swe operacye do takich rozmiarów, jak Towarzystwo kredytowe; często nawet dla zużytkowania kapitałów uciekało się do interesów, przeciwnych ustawie; w końcu pod wpływem wypadków z lat 1870—71 i spraw egipskich, doszło do ruiny.

Kredyt rolny był już nieraz przedmiotem rozpraw ekonomistów i mówców; przed laty zaś kilku, czy kilkunastu, Hiernaux zaznaczał konieczność pożyczek na *majątek ruchomy*, tj. sprzęty domowe, narzędzia, inwentarz żywy i plony zebrane. Hypoteka na ruchomości tem bardziej godna jest uwagi, że oddawna znalazła zastosowanie w praktyce. Banki na Martynice i w Gwadelupie udzielają pożyczek na zbiory w stodołach; w roku zaś 1876 rząd brazylijski przyjął również tę zasadę. Prawnik francuski, Dupin, powiedział: „Niema *kredytu rolnego*, jest tylko *kredyt*," co ma oznaczać, że wyłączność operacyj danego banku nie może sprzyjać jego rozwojowi. Zobaczymy później, jak dalece zasada przez francuza wypowiedziana ma doniosłe znaczenie w obecnej organizacyi kredytu państwowego u nas.

Zen. Piet.

*) Leon Hiernaux, *Organisation du Crédit au travail.*

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Zatwierdzono nowe posady techników do kontrolowania kotłów na parostatkach rzecznych.

— Według ułożonej ostatecznie procedury upadłościowej, charakter niewypłatności w każdym osobnym wypadku określać będzie urząd prokuratorski. Na prezesów i kuratorów mas upadłości obierane będą wyłącznie osoby z pośród wierzycieli dłużnika zbankrutowanego; za skupienie zaś roszczeń ze strony opiekunów prezesów lub kuratorów mas, ustanowiona będzie odpowiedzialność kryminalna. (*Now. Wr.*).

— Wielu gubernatorów zwróciło się do ministeryum spraw wewnętrznych z wnioskiem utworzenia przy zarządach miejskich komisyi rzemieślniczych wykonawczych, których zadaniem byłoby rozciąganie kontroli nad cechami i rzemiosłami. Ministeryum podobno dało przychylną odpowiedź. (*Grażd.*).

— Z gub. wołyńskiej koloniści niemieccy przenoszą się nad Wołgę.

— Wyjaśniono, iż żydzi mają prawo nadawać sobie imiona chrześciańskie.

Szkoły. Departament górniczy postanowił rozszerzyć program szkół sztygarów w zakresie niektórych przedmiotów specyalnych. Wprowadzone będą: dział hutniczy, metalurgia, sztuka probiercza, chemia analityczna i mechanika fabryczna.

— W Instytucie technologicznym przekształcone będą warsztaty i laboratorya.

— Do szkoły sztygarów w Dąbrowie Górniczej zgłosiło się 76 kandydatów na 26 miejsc wolnych.

— Wkrótce rozpoczną się wykłady w instytucie archeologicznym w Petersburgu. Kurs dwuletni. Przyjmowani są kandydaci z wyższem wykształceniem; inni mogą uczęszczać w charakterze wolnych słuchaczy. Przedmioty: archeologia ruska, cerkiewna, starożytności prawne, paleografia słowiańsko-ruska, archeologia pierwotna, geografia historyczna, numizmatyka, archiwoznawstwo, starożytności polsko-litewskie, dyplomatyka, paleografia łacińska i grecka.

— W r. b. szkolnym zaczyna obowiązywać studentów uniwersytetu jurjewskiego zakaz noszenia zewnętrznych oznak korporacyjnych.

— W tych dniach panie: Zofia Jastrzębska i Karolina Lieberowa wniosły podanie do władzy o pozwolenie otwarcia praktycznych kursów gospodarstwa wiejskiego i domowego dla kobiet na zasadzie normalnej ustawy, obowiązującej wszystkie praktyczne szkoły przemysłowe i rzemieślnicze żeńskie. Program: gotowania, szycie, pranie i prasowanie, wyrób nabiału, przyrządzanie konserw owocowych i warzywnych, wędliniarstwo, hodowla drobiu i rachunkowość gospodarcza.

— Ogłoszono rozporządzenie o zmianach szczegółów ustawy Instytutu prawniczego w Petersburgu. Kurs będzie 10-letni z podziałem na trzy klasy wstępne i siedem normalnych. Przyjmowani będą wyłącznie synowie szlachty rodowej.

— Ministeryum rolnictwa zimą otworzy w guberniach zachodnich i południowo-zachodnich kilka niższych szkół gorzelniczych. (*Peterb. Wied.*).

Koleje i komunikacye. Na kolei Zachodnio-Syberyjskiej między Czelabińskiem a Omskiem w tych dniach otwarty będzie przewóz pasażerów klasy III i IV-ej.

— Postanowiono wzbronić wycinania lasów i zarośli na wyspach i kępach rzecznych, gdyż niszczenie

roślinności wpływa na tworzenie się mielizn i zniżanie poziomu rzek.

— Wobec przewidywanego zwiększenia się ruchu transportów zbożowych na kolejach pod wpływem spodziewanego na Węgrzech zakazu wywożenia z kraju traw pastewnych i kukurydzy, ministeryum komunikacyi postanowiło wzmocnić środki przewozowe, a zarazem wyświetlić dokładnie tę okoliczność, o ile koleje, służące wyłącznie celom wywozu, mogłyby obecnie sprostać olbrzymiemu ruchowi ładunków zbożowych. (*Now. Wr.*).

Zdrowie publiczne. Odbył się w Warszawie konkurs na otrzymanie ordynatury oddziału chirurgicznego w szpitalu Dzieciątka Jezus. Zwycięsko wyszedł i pierwszeństwo otrzymał dr. Sztejnert. długoletni pracownik kliniki prof. dr. Juliana Kosińskiego. D-rowie Sawicki, Ciechomski, Borsuk i Gapszewicz również odbyli tę próbę z powodzeniem i w miarę otwierania się nowych ordynatur, będą otrzymywali posady bez konkursu w porządku wyżej wymienionych nazwisk.

Wystawy i zjazdy. W początkach r. 1895 odbędzie się zjazd hydrotechników w Petersburgu.

— *Now. wr.* donosi, iż projektowana w Petersburgu wystawa drukarska posiadać będzie dwanaście oddziałów, a mianowicie: 1) historyę drukarstwa; 2) oddział wydawniczy; 3) grawerski; 4) lanie czcionek; 5) produkcyę papieru; 6) maszyny, farby itd.; 7) druk, litografię i metalografię; 8) heliografię; 9) introligatorstwo; 10) szkoły specyalne; 11) oddział artystyczny i 12) ogólny.

— W Peszcie odbył się międzynarodowy kongres hygieny.

Wypadki. W ubiegłym tygodniu zdarzyły się dwie katastrofy z pociągami błyskawicznymi. D. 9-go pociąg Paryż-Kolonia zetknął się pomiędzy Noyon i Chauny z maszyną stacyjną. Uległo poranieniu 100 osób, z tych 60 lekko. Zabitych dokładnej liczby nie mamy. Przyczyną katastrofy było spóźnione wypuszczenie pociągu z Paryża. Naczelnik stacyi Apilly, który chciał zapobiedz wypadkowi, został zmiażdżony. Nazajutrz w Brunświku pociąg błyskawiczny Berlin-Kolonia wpadł na pociąg pusty. Jeden człowiek zabity.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 2 Сентября 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.